Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 75 gr.

W NUMERZE

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX — Warszawa, dn. 14 IX. 1952 r. — Nr. 37 (371)

Wolni wśród wolnych

OSIEM lat przeistoczyło naród i kraj. Osiem lat odmieniło rolę Polski w skali historycznej i międzynarodowej. Po raz pierwszy jako nowożytne państwo Rzeczpospolita kieruje wzrok spokojny w jutro z wiarą, że zawiera ono dalszy wzrost, dalszy rozkwit, niekończący się ciąg rozwojowy. Po raz pierwszy wzdłuż granic Polski nie ma złowieszczych murów nienawiści, ale mosty przyjaźni wiążące kraj z wielką i twórczą społecznością międzynarodową, w której znikł wyzysk człowieka przez człowieka i narodu przez naród. „Wolna wśród wolnych, równa wśród równych i wspierających się wzajemnie narodów", zjednoczona na prastarych ziemiach polskich, w narodowych granicach, silna, jak nigdy w historii, związana przyjaźnią ze wszystkimi sąsiadami, Związkiem Rad, NRD i Czechosłowacją, ze wszystkimi krajami demokracji ludowej — Polska zakłada wraz z nimi fundamenty nowej organizacji świata, skąd wygnana będzie na zawsze wojna, gdzie na zawsze będzie obalona tragiczna nierówność ludów.

Na rozległych obszarach globu wciąż jeszcze rozciąga się panowanie Wielkiej Krzywdy. Linia podziału biegnie tam w poprzek granic, coraz głębsza przepaść odcina garść rządzących od trzonu społeczeństw, dzieli sprawców wojen od spragnionych pokoju. Osiem lat zaostrzyło sprzeczności imperializmu. Anglia stoi nad brzegiem bankructwa, Belgią wstrząsa „pierwszy bunt w obozie atlantyckim", jak określiła to prasa burżuazyjna, we Francji, Włoszech, Trizonii szerzy się wrzenie. „Choroba nie zabiła jeszcze pacjenta — woła amerykański dziennikarz — lecz jest nieuleczalna bez nowych zupełnie środków, na które nasz Kongres nigdy się nie zgodzi". Niewymieniona nazwa choroby brzmi: kapitalizm. Nic więc dziwnego, że Kongres USA nie może się zgodzić na jej uleczenie.

Dlatego z taką czujnością śledzą imperialiści każdy nasz krok. W smutnej epoce dwudziestolecia, gdy Polska była ubogą kolonią monopoli, żaden strateg amerykański nie troszczył się o sanacyjne, czy chienopiastowe wybory. Dziś Waszyngton tak jest zajęty biegiem naszej kampanii wyborczej, jakbyśmy byli co najmniej Kanadą czy całą Ameryką Południową. Przyczyny są jasne. Rząd Stanów Zjednoczonych przygotowuje wojnę, a Polskę po raz drugi w ciągu pokolenia przeznaczył na żer hitleryzmu. Dopóki Polska „pawiem narodów była i papugą" łatwo było przesądzić jej los, uczynić z niej krwawy łachman i nazwać cynicznie „natchnieniem ludów". Ale my znamy cenę tego „natchnienia", znamy rozpacz samotnej walki i złowrogie owoce nienawiści. Wolni wśród wolnych, równi wśród równych nie z nienawiści czerpiemy naszą moc, lecz ze skupionych, zestrzelonych w jedno sił twórczych narodu, których manifestacją był każdy dzień ubiegłych ośmiu lat, których dowodem jest cały nasz dorobek, których przeglądem staną się wybory.

A gdy upłynie drugich lat osiem, gdy obok wielkich budowli komunizmu stanie dziesięćkroć wzmożona gospodarcza moc nasza, naszych sąsiadów i sojuszników i światu zapewni trwały, powszechny pokój — wówczas nie w cierniowej koronie męczennicy, ale wsparta o „wielki naród stu narodów", w kłośnym wieńcu dosytu i w glorii obfitości będzie Polska prawdziwym natchnieniem ludów.

Pisał przed laty Mickiewicz: „Dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, na foburgach paryskich, nawet w chatach włoskich, jeden rozchodzi się huk wróżący trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję, że nastąpić musi".

Sto lat upłynęło.

Andrzej Skiba

NIGDY jeszcze w swych dziejach naród polski nie był tak zjednoczony i scementowany ideowo, jak jest dziś w okresie władzy ludu pracującego, w okresie budownictwa nowego swego życia, nowego ustroju sprawiedliwości społecznej.

O podstawach tego ustroju, o zadaniach tego budownictwa mówi jasno i wymownie opublikowany wczoraj Program Wyborczy Frontu Narodowego. Dawne programy wyborcze z okresu burżuazyjnego zawierały zazwyczaj masę obietnic, szumnych haseł i frazesów, o których walczące między sobą o wpływy partie burżuazyjne zapominały natychmiast, gdy minęły wybory. Program Frontu Narodowego natomiast jest oparty na granitowej podstawie naszych osiągnięć, na codziennej pracy i walce mas ludowych. Jest to program, który każdy może sprawdzić, oceniając zarówno to, co zostało już osiągnięte i zrealizowane w ciągu minionych lat, jak i to, co wykonywane i urzeczywistniane jest przez sam lud pracujący codziennym jego wysiłkiem. Program ten mieści w sobie, rzecz jasna, także to, co stoi przed nami jako zadanie dnia jutrzejszego, zadanie lat najbliższych, ale co wypływa z istniejącej już dziś sytuacji, z istniejących już faktów i osiągnięć. Są to zadania wielkie, porywające, zdolne pobudzić do czynu masy i do ofiarnej pracy każdego człowieka. Tylko mali, bezduszni ludzie, omotani kłamstwem, sobkostwem i egoizmem burżuazyjnym stać będą na uboczu. Tylko kułacy i spekulanci, którzy wichrzą przeciw ludowi, znajdą się poza obrębem szerokiego nurtu narodowego. Tylko wrogowie i agenci imperialistyczni mogą ważyć się na walkę, na przeciwstawianie się tym wielkim i sprawiedliwym dążeniom narodu. Tylko oni będą próbowali rozszczepiać jedność narodu, kroczącego śmiało i zdecydowanie po nowej drodze swego rozwoju. Ale naród odepchnie od siebie to wszystko, co zgniłe, wsteczne lub zwyrodniałe. Silny jednością mas pracujących naród polski osiągnie swe zadania historyczne, urzeczywistni swe plany gospodarcze, zbuduje nowy, lepszy i sprawiedliwy ustrój społeczny — socjalizm! (oklaski).

(Fragment przemówienia na Dożynkach w Krakowie)

BOLESŁAW BIERUT

Powrotną pocztą...



Foto J. K. Maciejewski

GROMNIKI — 6 września 1952 r.

WIECZOREM zasiadłem, aby nie mieszkając napisać do Redakcji jakie myśli i uczucia wzbudził we mnie Program Wyborczy Frontu Narodowego, dopiero co ogłoszony.

Urodziłem się i mieszkam w powiecie tarnowskim, gdzie mój dziad znał ks. Stojałowskiego, gdzie mój ojciec pamiętał Stapińskiego i znał się z Witosem.

Pochodzę więc z powiatu, w którym dwa — trzy minione pokolenia chłopskie ocierały się o „wielką" politykę i znanych działaczy ruchu ludowego. Ale tamtym pokoleniom nie dane było zaznać tego, co przeżywa nasze pokolenie.

„Nasze pokolenie — jak powiada Program Wyborczy — znalazło w sobie odwagę, aby podjąć dzieło trudne, lecz niezbędne: odrobienia w ciągu niewielu lat ogromnego zacofania".

Zapytuję sam siebie, jakiej miary jest i ma być nasza odwaga? A odwagę poznaje się po tym, co potrafi ona osiągnąć. Otóż i na to pytanie odpowiada Program Wyborczy.

„Wykonanie wielkich Planów Narodowych bieżącego 10-lecia uczyni Polskę krajem potężnego, nowoczesnego przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z przodujących krajów Europy".

Na takie wielkie dzieło znalazło w sobie odwagę nasze pokolenie. Ma się rozumieć w nowych warunkach rodzi się ta odwaga. Nasza ojczyzna wolna jest od masek imperialistów, które przed wojną grzebały w naszych bankach i fabrykach, w naszych stronnictwach i rządzie mianowańców. Nasz naród przeżył rewolucję. Nie ma już u nas w kraju wielkich kapitalistów. Chłopów nie tumani więcej „polityka ludowcowa". Chłopów łączy sojusz z robotnikami, a spójnię tę koronuje rząd ludowy. Otaczają nas ze wszech stron narody, co także żyją socjalizmem. A wspiera nas i ochrania przed wrogiem Związek Radziecki, ostoja światowego pokoju i światowej sprawiedliwości.

Że dopiero w takich warunkach „nasze pokolenie znalazło w sobie odwagę" — to fakt. Ale również faktem jest, że *zdobyło się na odwagę.*

Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Bo świadoma odwaga jest zawsze dwa razy większą odwagą i daje dwa razy większą wiarę w przyszłość.

Chciałem najpierw na poświadczenie tej nowej odwagi w każdym z nas chłopów mało i średniorolnych — napisać o przemianach w moim osobistym życiu za ubiegłe 8 lat. Alem się rozmyślił. To byłaby ta nieuświadomiona odwaga. Najpełniejszą, najbardziej świadomą wyraził Program Wyborczy naszego Frontu Narodowego. Pokazał odwagę całego narodu: robotników i chłopów, inteligentów i rzemieślników, żołnierzy i oficerów, kobiet i młodzieży. Na wszystkich polach pracy i walki w naszym kraju, w naszej ojczyźnie.

Ale kiedy ja miałbym świadczyć o tej odwadze, za dużo byłoby dla mnie mówić o całym narodzie a za mało o sobie. Powiem o naszej gminie. Obejmuje ona 2.800 gospodarstw, 85 proc. to mało i średniorolni, a w naszych stronach, jak wiadomo, mniej niż w Poznańskim czy Lubelskim przypada ziemi na mało i średniorolnego chłopa.

Cóż ja chcę powiedzieć o naszej gminie Gromniki? Chcę w dowodach pokazać odwagę nie jednego, pojedyńczego chłopa, ale kilku tysięcy, wśród których żyję, których znam mniej lub więcej.. Nie o szczegółach też będę pisał życia domowego. Ale o tym co powszechne i główne. A główna wydaje mi się *odwaga* chłopów mało i średniorolnych *„w walce o zwycięskie wykonanie historycznych planów narodowych"*, o jakich mówi Program Wyborczy.

Mało jest popatrzeć na siebie. Trzeba się rozejrzeć dokoła, a wtedy w całej okazałości zobaczy się potęgę naszego marszu naprzód. Niechby tak każdy chłop rozejrzał się po swojej gminie a przekona się jaką władza ludowa, jaką socjalizm, jaką sojusz robotniczo - chłopski wyzwoliły w nas odwagę i siły twórcze.

Mamy już trzeci rok Planu 6-letniego. Czy nie czujemy go w produkcji na naszej gminie? O, jeszcze jak! Wydajność z ha zbóż podniosła się o 4 q, buraków o 150 q, kontraktacja roślin przemysłowych i obszar ich uprawy zwiększyły się *trzykrotnie.* Hodowla bydła, trzody chlewnej i drobiu wzrosła o 60%.

Popatrzcie na tabelkę, jaką wyciągnęli z obliczeń nasi przodownicy. Tabelka naszej gminy.

	Rok 1949	rok 1952
żyto	*— 10 q*	*13 q*
pszenica	*— 9 q*	*13 q*
jęczmień	*— 14 q*	*20 q*
buraki c.	*—200 p*	*350 q*
ziemniaki	*— 90 q*	*110 q*

Co wpłynęło na to planowe zwiększenie produkcji? Nawozy sztuczne, możność ich otrzymania i umiejętne stosowanie. Dalej, dobre przechowywanie obornika i jego przyrost, dalej — siew poplonów, siew rzędowy, wczesne podorywki. Dalej — poletka doświadczalne, popularyzacja wiedzy rolniczej i maszynowa pomoc w uprawie.

Te wszystkie rodzaje pomocy i te wszystkie szczeble nauki dała nam Polska Ludowa. Ale nic z wysiłków brata i nauczyciela, kiedy uczeń nie chce i nie potrafi się nauczyć. O tym nie można zapominać. Dlatego w tej nauce przelanej w rolę i w nasze wyniki w gminie, trzeba zobaczyć odwagę, jaką znalazło w sobie nasze pokolenie. Trzeba zobaczyć rozbudzoną wiarę we własne siły twórcze i rosnący wraz z nią zapał.

Opłacalność hodowli, rozpatrzona przez chłopa ze wszystkich stron: tak cenny, jak pomocy państwa w kredytach i paszach natchnęła go odwagą do rozszerzenia upraw paszowych. To przecież cała rewolucja. Jakże się chłopi rzucili w 1950 roku na siew rzędowy, kiedy u nas SOM od roku 1948 wprowadził siewniki. Odwagi od nich wymagała decyzja na równoczesne podnoszenie gospodarki zbożowej i hodowlanej, kiedy dawniej pierwszą przekładano w drugą i to było wszystko. Siew poplonów stał się powszechny. Seradela, łubin. wyka wzrosły czterokrotnie, ale też patrzcie: w r. 1949 zakontraktowano 400 sztuk trzody chlewnej, w 1950 — 800, w 1951 — 1565. A w 1952 r. po wprowadzeniu dostaw obowiązkowych — 235 sztuk ponad plan. Hodowla wzrosła najwięcej u małorolnych; kto hodował tucznika, teraz 2—3, kto miał 1 krowę, teraz 2. W 1949 r. nie było ani połowy ilości koni, jaką teraz posiadamy.

Skup rozwijał się w ostrej walce klasowej. Ale też dała ta walka niemałe zwycięstwa. Co roku skracał się czas skupu zboża o 2 miesiące. A jak sam skup i zaopatrzenie powiekszały się, niech wam na to odpowiedzą obroty w GS-ie.

rok 1949

skup — 1.225.000 zł.
zaopatrzenie — 2.221.000 zł.

rok 1952 (za I-sze półrocze)

skup — 1.591.000 zł.
zaopatrzenie — 2.855.000 zł.

Komitety członkowskie były kilkakrotnie oczyszczane z elementów spekulanckich i kułackich. I do tej walki nie zabrakło nam odwagi. Rosły kadry naszych działaczy — przodowników produkcji. W hodowli mamy ich 37, w produkcji roślinnej 12, w tym jednego mistrza na cały powiat w uprawie buraka cukrowego. A uprawa buraka, lnu i rzepaku dopiero się u nas rozwinęła w nowej Polsce. Współzawodnictwo między gromadami przybiera na sile. Gmina w przychowie bydła stoi na pierwszym miejscu w powiecie.

W gromadzie Siemiechów małorolny Wojciech Janiczek osiągnął w bieżącym roku 30 q jęczmienia z 1 ha.

W gromadzie Polanka 2 hektarowa Gunia Balbina wyhodowała w ciągu jednego roku (zakontraktowanego) tucznika o wadze 215 kg, uzyskując na spędzie I klasę.

W gromadzie Siemiechów— Bolesław Łabuz (1 ha ziemi) dostarczył do GS-u 2 sztuki tuczników po 150 kg.

W gromadzie Siemiechów — Tadeusz Bryndal wyhodował w bieżącym roku takie buraki, że przyjeżdżają je oglądać chłopi z okolicznych wiosek a nawet działacze z władz powiatowych.

Fakty wymienione mówią o sile rozmachu, jakiego nabrali sami chłopi, o wyrastaniu od dołu aktywistów, działaczy i przodowników nie obdarzonych tytułami i funkcjami oficjalnymi a przecież w praktyce nowego życia prowadzą oni chłopów do „przezwyciężenia w niewiele lat wiekowego zacofania", prowadzą do zacieśnienia sojuszu robotniczo - chłopskiego i spójni między miastem a wsią.

Do wiary jest to dzieło! Bo prawdą są nasze zwycięstwa już osiągnięte. Prawdą jest, że odnaleźliśmy w sobie odwagę, jakiej naród polski przez wieki dotąd nie przeczuwał. Zdawajmy sobie sprawę z tej odwagi, poświadczonej już czynami. A pomnoży ona naszą wiarę i patriotyzm. W niej bowiem jak Polska długa i szeroka, ukazuje się jedność działania Polaków. Ona tworzy najszerszy Front Narodowy.

Władysław Janiczek

JACEK MICHNIAK

Przez serce narodu



PIERWSZY raz byłem w Warszawie w r. 1926 po przewrocie majowym. Miałem wujka w Ameryce, który posiadał farmę i chciał mnie sprowadzić do roboty na tej farmie. Zawiedzione zostały nasze chłopskie nadzieje, więc mieszkając pod Giewontem pomyślałem sobie: akurat w porę ten „angażma", wyjadę w taki czas i tyle.

Wujek obiecał mi płacić 30 dolarów miesięcznie a nie przyznał się, że jego farma idzie do upadku i ostatni ratunek dla plantacji tytoniowej, to tani pracownik dla którego, jak w tę matnię raz się zaplącze, wyjścia już miał nie będzie. Byłem więc jako kuzyn w sam raz dla ostatnich podrygów rujnowanego farmera. Nic jednak o tym wówczas jeszcze nie wiedziałem i w dobrej myśli jechałem do Warszawy z papierami wujka do konsula USA. Podróż kosztowała mnie na owe czasy dużo, bo około 50 zł. Kolejami jeździli wówczas „panowie", było więc przestronno, alem po chłopsku przycupnął z brzeżka. Palić też nie mogłem, bo miałem machorkę. Pany mnie ochuśtały, że smrodzę w przedziale. A choć im rzekł, że to monopol polski, kazali mi kopcić w ustępie.

Zajechałem wreszcie do Warszawy. Miasto ogromne i ruchliwe. Zaraz mnie opadli andrusy. Poznali widać chłopka, co pierwszy raz w stolicy. Alem się roztropnie wywinął z ich nabierań i jakoś odnalazłem konsulat USA na Jasnej ulicy. Tam przejrzeli moje papiery od wuja i zapisali na numer kolejny emigrantów. Więc kiedy? — pytam obracając w ręku numerek — za cztery lata — powiadają.

Głupio mi się zrobiło, ale co było robić, kiedy taki porządek nastawał. Krewnych żadnych ani znajomych w Warszawie nie miałem. Tom zaraz, jak zbity pies zawrócił na dworzec. Po drodze obok przepychu kamienic i grubych panów, zobaczyłem teraz tłumy nędzarzy. Kupiłem bilet, głowę wtuliłem w kożuch i pod Giewont z powrotem.

×

Drugi raz znalazłem się w Warszawie w marcu bieżącego roku z okazji 3-lecia „Gromady". Co przeżyłem, opiszę. Ale najpierw powiem, że teraz nie jechałem do nieznanego mi miasta, jak w r. 1926. Na naszej wsi czytają górale dziesięć razy więcej gazet, niż przed wojną. To się wiedziało z roku na rok, co słychać w Warszawie.

Najpierw, że cała w gruzach. A na fotografie aż strach było patrzeć. Potem, że Prezydent Bierut zamieszkał w tych ruinach i powiedział: tu od wieków bije serce narodu, tu jego stolica! I stało się, jak powiedział. Oglądaliśmy na zdjęciach nowy most na Wiśle, potem Trasę W—Z. O Krajewskim zrobiło się głośno, o trójkach i piątkach murarskich, o nowych, błyskawicznych sposobach budowania.

A przecie co jakie wydarzenie polityczne ważniejsze, co jaka uroczystość narodowa, co jaki zazd (a zjazdów to było a było i będzie, bo teraz rządzi, obraduje i planuje cały lud pracujący) — więc znów wiadomość o naszej stolicy. Pisuję góralom w potrzebie różne podania, przy tej okazji w korespondencjach do Radia, Rolnika i Gromady, atakowałem dawniej Gminną Radę za to, że spali tam, jak świstaki w Tatrach, ale się zbudzili, bo rozumieli to dobrze, że w Warszawie orientują się nie gorzej niż w gminie. Teraz jest już między nami zgoda. Ale zawszeć wolą, żebym czasem nie wpadł do urzędu i nie zrobił tam porządków, bo oświecenie — powiadają — mam z tego, co sam rząd w Warszawie mówi. A to jest tak, że jak człowiek co przegapi, to każdy góral, kiedy przyjdzie, coś przypomni i dopowie i choć pod Giewontem skała, niebo i woda, ale Warszawa ludowa w naszych myślach i sercu, więc najbliżej.

×

Dwa dni jeździliśmy autokarem. Żeby nie resztki ruin, człowiek by nie uwierzył, że nowa, już zbudowana stolica i ta co się bez przestanku buduje, wyrosła z gruzów i popiołów.

Dlatego powiem najpierw o Ghetcie. Tam miał Hitler stawiać sobie pomnik zwycięstwa zbrodni. Stoi tam teraz pomnik Żydowskich Powstańców, symbol klęski Hitlera, klęski bestialstwa faszyzmu. A niedaleko pomnik Dzierżyńskiego na dawnym placu bankierów. Na tym placu wzrok leci w dal. I takie wrażenie ma się wszędzie, gdzie nowa dzielnica. Na mostach, na Trasie W—Z, na Nowym Świecie, na Muranowie, Młynowie, Ochocie, Mirowie i na MDM-ie. Taka tu zasada jak u nas w górach. Piękna zasada. Nie masz człowieku zgubić się i zgłupieć, ale szeroko obejmować wzrokiem i daleko widzieć wprzód.

To też kiedym w Wilanowie zwiedzał piękny pałac króla Sobieskiego — pośmiałem się trochę. Miał ci to być „pogromca pogańskich Turków", i „obrońca chrześcijaństwa" a budował się za pomocą włoskich artystów, którzy miast świętych wystawili bez liku figury nagich piękności. Wywnioskowałem, że Sobieski w sztuce na widoku publicznym bronił Greczynek przed Turczynkami. Tak to wielmoże zabawiali siebie a legenda tumaniła naiwny naród. Ale przestała już tumanić i przestanie.

Bo prawda jest w tym, że w Warszawie nie widziałem nigdzie, żeby na placach noszono cegłę. Maszyny i dźwigi pomagają dziś pracującemu człowiekowi. Na Żeraniu taśma podsuwa części robotnikowi. Czystość w tej fabryce i dbałość o człowieka. Takiego porządku nie wyobrażałem sobie dotąd. Toteż i samochody wychodzą stamtąd, jak cacka.

×

W trzy miesiące później znów byłem w Warszawie na Krajowym Zjeździe Korespondentów. Teraz pojąłem, że dla nas z różnych stron Polski dwie są rzeczy ważne: oglądać stolicę i być w stolicy. A to nie to samo. Oglądałem Warszawę już w 26 roku, ale kto chciał — po przewrocie majowym — abym przybył do stolicy? Kto? Rząd? Naród? A teraz w naszej Polsce z milion chłopów było już w Warszawie na zaproszenie naszej władzy ludowej i w delegacji z gmin i powiatów. Zjazdy, zloty, narady, manifestacje to ta nowa siła pędna, która przez serce narodu przetłacza dziś przodujących chłopów, chłopów-działaczy z przeróżnych organizacji. Tak to serce narodu napędza z powrotem w tętnice na cały kraj nową krew życia. Podchodzimy do samego serca i tam w stolicy, uradziwszy razem z ministrami i najwyższymi władzami Partii, wracamy pełni wiary, wiedzy i siły do walki i pracy aby

(Dokończenie na str. 2-ej)

SANDOR NAGY

W WĘGIERSKIEJ REPUBLICE LUDOWEJ

BŁĄD DO NAPRAWIENIA

(Fragment opowiadania)

Sandor Nagy jako dziecko wsi zna jej bolączki, toteż w opowiadaniach swoich pisze o walce klasowej węgierskich chłopów pracujących i o sprawach spółdzielczości produkcyjnej.

Utwór „Pojednanie" wyróżniony Nagrodą Stalinowską, należy do najcelniejszych osiągnięć artystycznych Nagyego.



TOWASZYSZE! Pokazaliśmy ludziom naszej wsi, co umiemy, kto nie jest ślepy — ten widzi... Rozgłosmy nowinę o naszych wynikach... Nie bojmy się mówić prawdy... Mamy już wielu członków, ale spółdzielnia potrzebuje jeszcze więcej... Sprowadźcie jak najwięcej kandydatów jutro na zebranie!... Jeszcze więcej nowych deklaracji!... Z tego nie wynika, że przyjmiemy każdego, kto się zgłosi. Tak wcale sprawa nie stoi. Nie przyjmiemy kułaka, ani tego, kto, zaprzedany kułakom, przez cały czas poniżał naszą pracę. — Tu pyzata twarz przewodniczącego nabiegła krwią. — Nie przyjmiemy choćby był mało, albo nawet bezrolnym!

Sala odpowiedziała hucznymi oklaskami. — Wyśmiewali się z nas! — A na mnie dewotki pluły! — Dosyć mamy wrogów, jeszcze gorszych niż kułacy! — padały ze wszystkich stron okrzyki.

Pali Bózsó[1]), widząc, że zebranie przybiera nieoczekiwany obrót, kręcił się niespokojnie. Zależało mu na utrzymaniu w spółdzielni linii partyjnej. A przewodniczący Kalman stale skręca to w prawo, to w lewo. Padały nazwiska biedaków wiejskich, którzy w braku świadomości sprzeciwiali się kiedyś zakładaniu spółdzielni. Kata Sarok[2]), dziewczyna z zadartym nosem, wystąpiła przeciw swojemu bratu: — On robi wszystko, ażeby się zapisać! Ale nie dawajcie mu, Kalman, deklaracji, choćby nie wiem jak prosił! — wywijała zgrubiałymi rękami i wstawszy z miejsca, podbiegła do stołu prezydialnego, i nuże wyliczać, ile świństw narobił jej brat.

W końcu sam przewodniczący, widząc jaki niespodziewany wpływ wywarło jego przemówienie, poczuł się nieswojo. Pali Bózsó rozdziawił usta, ospowata twarz mu przybladła, chciał coś rzec, ale nie mógł, bo Kalman Juhasz bijąc pięścią w stół, kończył swoje przemówienie: — Jednym słowem każdy wie, co ma robić, wie także Zarząd. Jeżeli się zgłosi ktoś niepożądany, powiemy mu krótko: zmiataj, gdzie pieprz rośnie! Innych zaś przyjmiemy z ochotą, niech się powiększa socjalistyczna rodzina! Minione półrocze przyniosło nam bogaty plon. Niech żyje Partia! Niech żyje nasz wielki wódz Rakosi![3]). Niech żyje wielki chorąży pokoju — Stalin! — Niech żyje! Niech żyje! — zawrzała sala i gromkim chórem odśpiewano Międzynarodówkę. W śpiewie prym wodzili rozentuzjazmowani młodzi. Ich oczy zdradzały wzruszenie.

Po zebraniu Bózsó natychmiast podszedł do Juhasza. Właśnie Kalman chował do szuflady papiery. Głos organizatora Partii brzmiał urzędowo: — Towarzyszu Juhasz, swoim wystąpieniem zaszkodziłeś naszej sprawie. My nie możemy odtrącać ani jednego pracującego chłopa, dlatego, że kiedyś przez nieświadomość nam przeszkadzał.

— Pewnie, że nie! — zaperzył się Juhasz. — Odtrącimy tylko zdecydowanych wrogów.

— Chłop pracujący nie jest naszym wrogiem.

— Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni — odpowiedział Juhasz a twarz mu poczerwieniała. — Ale my znamy nazwiska naszych wrogów. Oczywiście mam na myśli pewne osoby. Zdrajca Ferenc Nagy[4]) też był chłopem.

— Wróg pozostanie zawsze wrogiem, ale tutejsi chłopi dopiero otwierają oczy — Bózsó tupał koślawymi butami. — Jeżeli ich tak potraktujemy — znienawidzi nas cała wieś.

Juhaszowi oczy zaszły mgłą, rozłożył szeroko ręce i syknął: — Może myślisz, że ja z Pistą Hajdu będę z jednej miski jadł czereśnie? On przez cały rok szydził ze mnie! Zapomniałeś, ile nocy ślęczał Komitet Założycielski... Pracowało się resztkami sił. A teraz dranie chcą przyjść do gotowego? Żeby się śmiali z nas w kułak?... Nie doczekają się tego nigdy!

Nacisnął kapelusz na głowę, zgasił światło i wyszli, zamykając drzwi. Przewodniczący perorował. dalej: — Każdy wypadek trzeba rozpatrywać oddzielnie. Tak nas uczy „Szabadnép". Ja stale czytuję rubrykę „Z życia Partii". A skąd Partia może wiedzieć o szczegółach walki klasowej w Illimány? Wy z Puskasem[5]) też wszystkiego nie wiecie.

Teraz już dyskutowali na jasno oświetlonej drodze. Przerażony Bózsó przeniknął cały ogrom niebezpieczeństwa. Bał się, że Juhasz powodowany nienawiścią do szwagra może przeciągnąć strunę. Uświadomił sobie własny błąd: zamiast przy spotkaniu z Pistą wyrwać zło z korzeniami, pozwolił mu rosnąć, a na zebraniu nie chcąc psuć nastroju, gapił się bezczynnie. Oczywiście teraz już za późno. Sytuacja zmusiła go do rozpaczliwego kroku. W pewnej chwili Bózsó oburącz chwycił Juhasza za ramię: — Kalman, wiedz, że nie dopuszczę do tego odchylenia! Ja też harowałem dla dobra spółdzielni i dlatego nie pozwolę jej szkodzić. Rozkazuję ci w imieniu Partii, rozumiesz?

Juhasz wyrwał rękę z uścisku gdy Bózsó wyjął z kieszeni fajkę i podniósł ją do ust. — Rozkazujesz? — Zabrzmiał jego gardłowy śmiech jak skrzypienie starego żurawia. — A czym ty jesteś, Bózsó, wobec woli ludu? Ile ci sąsiad zapłacił, że się tak o niego troszczysz? Teraz przychodzi koza do woza, kiedy czuje swój koniec. No, dobrej nocy! — Znowu roześmiał się nerwowo... — Jutro się okaże, kto silniejszy: rozkaz Pali Bózsó, czy wola ludu? — i zniknął pod ciemnymi konarami drzew.

*

Niebo różowiło się i rosa już opadła, kiedy Kalman poczuł szarpnięcie za ramię.

— Wstawaj Juhasz, dosyć spania. Wstawajże, mamy gościa. Sam sekretarz powiatowy przyjechał motorem z miasta. Partia przysyła delegata, żeby obejrzał naszą spółdzielnię. Zaszczyt nie lada. Jeszcze nam się w głowach poprzewraca. Leżysz w tym kożuchu jak ubity dzik. Uroczystość za pasem, a przewodniczący chrapie.

Głos Bózsó wcale nie przypominał wczorajszej kłótni. Tuż za nim stał młodzian w lekkim płaszczu i uśmiechał się pod rzadkim wąsem jakby zapuszczonym dla dodania sobie powagi. Był to Zoltan Szabo, nowy sekretarz powiatowy Partii, niedawno przeniesiony z Północnych Węgier, gdzie pracował jako kierownik propagandy.

Widząc, że Juhasz drepcze jak zmarznięty niedźwiedź, uśmiechnął się, poprawił czapkę, spod daszka wysunęły mu się kasztanowate włosy a blada twarz przybrała wyraz skupienia.

tłomaczył Tadeusz Fangrat

Czytaj: [1]) Bożo. [2]) Szarok. [3]) Rakoszi. [4]) Nodź — były premier zbiegły zagranicę. [5]) Puszkaszem.

JULIAN STAWIŃSKI

Na estradzie wyborczej USA

Z podium płynie potok słów wzniosłych, szczytnych, gorących i bezinteresownych zapewnień.

O, bo ten osiwiały w pracy dla ogółu działacz, to prawdziwie swój człowiek jeden z nich, jeden z szeregu, niezliczonego szeregu szarych ludzi Ameryki. Wyczuć to można w mocnym, kordialnym uścisku dłoni, jaki wymienia z każdym z tysiąca zebranych, w serdecznym uśmiechu, w spojrzeniu tak pełnym zrozumienia dla trosk przeciętnego Amerykanina, trosk które z nim razem dzieli. Mówi o sobie i wyłania się obraz osobistego życia wielkiego człowieka, obraz drobnomieszczański, wszystkim bliski, codzienny i powszedni, a który przez to właśnie pociąga, wzrusza i dosłownie targa za serce. Jakże on zna te sprawy, drobne i ciężkie kłopoty, sam ich doświadczył, sam się z nimi boryka. Choroba żony — czuwanie u jej wezgłowia. Trudności mieszkaniowe — wciąż się za mało buduje; a na domiar złego — te wysokie czynsze. Przyszłość dzieci — niepewna i chmurna — groźba wojny... On również ma dzieci, rozumie niepokój milionów rodziców, uczyni wszystko. — A jeśli... jeśli nadejdzie ostateczność, jeśli wróg, co dybie na całość Ameryki, uderzy — tu tony mowy twardnieją, dźwięczy w nich szczęk stali — któż lepiej niż on poprowadzi naród do zbrojnego wysiłku?...

Huczą oklaski, grzmią fanfary orkiestry, salę zalewa powódź kolorowych świateł, imię prezydenckiego kandydata jest na wszystkich ustach. Ba, nietylko na ustach: widnieje na przezroczystych pończoszkach pięknych dziewcząt, na kapeluszach, gorsach i ramionach, monoklach i chusteczkach, na płytach gramofonowych i deskach do prasowania — wszędzie.

Pełen energii, pogodny, naładowany zapasem okolicznościowych zwrotów i anegdot, kandydat na prezydenta przemierza kraj wygłaszając dzień po dniu, rano, w południe i wieczór, niezliczoną ilość przemówień. Publiczność zjawia się tłumnie, nie myśląc o tym, że krasomówcze popisy nie mają wcale znaczenia, że do ich treści żadnej wagi nie można przywiązywać, że ten, kto zasiądzie w Białym Domu, prowadzić będzie politykę ustalaną zdala od estrady wyborczej, nie dla ludu i nie przez lud wytknięta. Publiczność przychodzi tłumnie znęcona tanią świetnością widowiska, zwerbowana przez machiny partyjne, przychodzi z nawyku, spełniając uświęcony latami obrządek, a czasem dla zaznania naiwnego poczucia współrządów państwem.

×

Luksusową arterię New Yorku, słynną Fifth Avenue, zalega tłum. Spodem, w zaduchu kolejki podziemnej, płynie jak codzień milionowa fala zmęczonych wytwórców bogactw. Górą, w chłodnych wnętrzach nazbyt wytwornych sklepów, płynie jak co dzień fala milionów beztrosko wyrzucanych przez garść zjadaczy tych bogactw. Sześćset tysięcy gapiów wypełnia oba chodniki. Środkiem szerokiej jezdni sunie pochód. Toczą się sapiąc ciężkie lokomotywy, za nimi długi wąż towarowych wagonów, jest nawet pancernik na kołach, cały błyszczący srebrem płyt, cały jeżący się armatami — a jedna z nich prawdziwa. Kolorowe czapeczki, barwne parasolki, z okien drapaczy chmur sypie się deszcz confetti i, starym nowojorskim zwyczajem, stosy podartych na strzępy książek telefonicznych. Karnawał? Nie. Legion Amerykański, faszystowskie zrzeszenie byłych wojskowych, odbywa doroczny zjazd. Przodem, wspaniałym kurierskim parowozem jadą: Wielki Marszałek Zjazdu Harold Hains, burmistrz New Yorku — Impellitteri, delegat gubernatora stanowego Curran. Wysiadają przy rogu 42-ej ulicy, zajmują miejsca na honorowej trybunie. Jeden z legionistów w powłóczystej, lecz zwiewnej sukni kobiecej próbuje ucałować burmistrza. Ten się uchyla, a legionista wyciska gorące pocałunki na ustach licznie ustawionych policjantów. Z ogłuszającym świstem, rykiem, piskiem i skowytaniem dziesięciu tysięcy trąbek, gwizdków, piszczałek, klaksonów oraz ludzkich gardzieli parada podąża dalej. Na rogu 34-ej ulicy wrzawa milknie przelotnie: Legion „składa hołd" pamięci poległych. Poczem, przy skocznych dźwiękach tuzina orkiestr, z tłumem legionistów miesza się tłum „wesołych przyjaciółek" — rozwydrzonych, rozchichotanych. Zabawa. Smutna zabawa w politykę i demokrację.

×

Tłum legnionistów wypełnia szczelnie olbrzymią halę. Na mównicy sam Ike Eisenhower. Ma na sobie strój legionowy, łysina, w myśl wskazań reporterów telewizyjnych, starannie upudrowana (za nadto błyszczała w programie). Cóż powie były dowódca swym byłym podkomendnym, wyrwanym przed chwilą z ulicznego rozpasania i błazeństw? Czy im wyjaśni, że ich zdziczenie, bezmyślność zapitych głupców, brak wszelkiego hamulca, to dzieło ustroju, który innych nie potrafi już znaleźć obrońców, jak otępiałych trzebieńców moralnych, janczarów prowadzonych strachem i histerią?

„Strach i histeria rządzą naszym życiem! Strach i histeria pchają nas w bankructwo moralne i dolarowe!" — mówi słusznie generał Ike — by zaraz potem dać żywy przykład dla swego twierdzenia. Oto czaszkę generała pod pudrem zraszają grube krople potu, oto szczęki zwierają się kurczowo, w kącikach zaciśniętych ust pokazuje się piana, oto głos staje się syczący i chrapliwy. Ike przypomina teraz mopsa w paroksyźmie wścieklizny Domaga się zbrojeń, jeszcze większych zbrojeń, chwycenia za gardło niesfornych satelitów, woła o nowe podboje. Drży na myśl o rosnącej z dniem każdym potędze socjalizmu. Jeszcze chwila, a ZSRR „prześcignie moc produkcyjną Stanów Zjednoczonych" Jeszcze chwila — i w samych USA rozpocznie się zmierzch faszyzmu, któremu Eisenhower przyrzeka dziś wierne swe służby: „Jakakolwiek przyszłość mnie czeka, łączę się z wami w tej walce".

Spada maska generała wojsk demokracji szturmujących redutę Hitlera. Pozostaje najemny opryszek monopoli, plugawiący mundur i pamięć Jerzego Waszyngtona. „Moralność i maniery z rogu ulicy" —



wzdryga się na ten widok nawet wielbiący Amerykę organ angielskich monopoli „Manchester Guardian". Dziennik zapomniał dodać, iż żaden ulicznik nie ubiegał się dotąd o godność prezydenta Stanów Zjednoczonych.

×

„Tutaj w Chicago — woła z emfazą reporter wielkiego koncertu radiowego Columbia — na podium, na którym oszacowano i zlicytowano miliony najwspanialszych befsztyków świata, zostanie wyznaczony przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. I Demokrata czy Republikanin, z tego samego podium wygłosi swą pierwszą mowę kandydacką."

Chicago — największe centrum kolejowe i największa na świecie rzeźnia. Największa drukarnia świata, najstraszliwsza dzielnica nędzy. W tym najbardziej na kuli ziemskiej kryminalnym mieście wychodzi najbardziej reakcyjny dziennik globu — „Chicago Tribune". Tę właśnie stolicę gangsterów upatrzyły sobie dwie główne partie USA na miejsce konwencji prezydenckich, ogólnopaństwowych zjazdów zwoływanych co cztery lata dla obioru przyszłego elekta.

Dziennikarz radiowy nic nie przesadził w swym ujęciu. Dostosował je tylko do powszechnego, ogólnego tonu. Befsztyki i prezydenta, nowy film i nowy gatunek papierosów reklamuje się jednakowo. Program polityczny sprzedaje się tak samo, jak nowy przepis trwałej ondulacji. I wart jest tyle samo. W orszaku agitujących za sobą kandydatów spotkamy gwiazdy ekranu i kabaretu, dużo pięknych ciał, a za to mało myśli, klownów cyrkowych i kowbojów, a nawet kowbojskie konie. Po ostatecznym przyjęciu przez konwencję republikańską kandydatury Eisenhowera, głośny z wykwintnych manier i opanowania senator Henry Cabot Lodge młodszy zaczął tańczyć wściekłego dżiga i wrzeszczeć wniebogłosy. „Sala sprawiała wrażenie masowego opętania czy jakiejś dzikiej zabawy studenckiej" — mówi oszołomiony wysłannik londyńskiego burżuazyjnego dziennika. A jego amerykańscy koledzy są niemniej przerażeni.



Korea i Vietnam, Malaje i Filipiny spływają krwią na rozkaz Waszyngtonu. Bomby napalmowe spopielają miasta i wsie, przemieniają ludzi w żywe pochodnie — z rozkazu Waszyngtonu. Czarny mór płynie niebem i ziemią, zatruwa wody — z rozkazu Waszyngtonu. A żniwiarze śmierci, akcjonariusze „wielkiej demokracji" tną hołubce, tańczą dżiga, dmą w piszczałki, biją w bębny wyborcze chcąc jarmarcznym zgiełkiem ogłuszyć swój naród, piaskiem frazesów zasypać mu oczy, kłamstwem zamulić mózgi, zdławić dojrzewającą świadomość — i dalej nieść żagiew zbrodni.

Zapomina ją, że wrzask zbyt głośny zwykł ludzi budzić.

Julian Stawiński

ZOFIA RZEPLIŃSKA

„Nagroda za dobrą pracę"

Budapeszt, w maju

PIĘKNE są góry Bükk otaczające Miskolc, centrum przemysłowe Węgier Ludowych. Oglądałam je w maju, tonęły wówczas w przepychu wielobarwnych kwiatów i zieleni.

W samym sercu pasma Bükk leży węgierska Krynica — Lillafüred. Co dwa tygodnie przyjeżdża tu świeży turnus wczasowiczów. Na skierowaniu, uprawniającym do korzystania z wczasów, widnieje zawsze napis *„Nagroda za dobrą pracę"*.

Nad całym Lillafüred góruje gotycki pałac. Z niesłychanym nakładem kosztów i iście feudalną rozrzutnością został zbudowany w latach 1929 — 1930, przez ówczesnych władców Węgier, w okresie największego kryzysu, okresie głodu, strajków, przepełnionych robotnikami więzień, katastrofalnego bezrobocia. Liczba pracujących w przemyśle robotników spadła wtedy z 654 do 390 tys. a wynagrodzenie za godzinę robotników wykwalifikowanych z 81 fillerów do 32 fillerów, robotników zwykłych z 32 do 19 fillerów.

Kryzys nie ograniczył się do przemysłu. Eksport artykułów rolnych spadł o 72 proc. Zarobki robotników rolnych o 61 proc. Tysiące inteligentów wałęsało się bezczynnie po ulicach. Masy pracujące Węgier nie mogły mieć już żadnej wątpliwości co do kierunku, w jakim prowadził je krwawy reżim faszysty Horthy'ego.

1 sierpnia 1930 roku, olbrzymie tłumy demonstrowały na ulicach przeciwko polityce głodu i terroru. Spotkały je wyciągnięte szable konnych policjantów, wojsko i auta pancerne.

Wyrokiem faszystowskiego trybunału zostali zamordowani dwaj wspaniali bohaterscy przywódcy węgierskiej Partii Komunistycznej Imre Salay i Sandor Fürst. W tym samym okresie, roztańczona, rozbawiona arystokracja węgierska zjeżdżała do nowowybudowanego pałacu w Lillafüred. Pod nim leżała lustrzana tafla legendarnego stawu. A wokół ściany gór Bükk, zwartym pierścieniem zamykając widnokrąg, zdawały się stwarzać bezpieczne gwiazdko, chroniące przed tym, co nabrzmiewało w Europie. Ale historia nieraz już udowodniła, że ani wyrokami śmierci nie można powstrzymać jej kroku, ani schronić się nigdzie przed dziejów wyrokami.

Kiedy oglądałam pałac w Lillafüred był maj 1952. Właśnie przybywał świeży turnus tych, co od-



bierali „nagrodę za dobrą pracę", tych, którzy udziałem swoim w sukcesach ludowych Węgier biorą nagrodę za krwawy trud węgierskich bojowników o rewolucję społeczną.

Tam, gdzie od pasma gór Bükk łagodne zbocze doliny Dudujka przechodzą w daleko rozciągającą się płaszczyznę bagien i moczarów, krzyk ptaków wodnych niósł się na całą okolicę jeszcze do niedawna, jeszcze — jak mi mówiono — do maja 1950 r.

Budować wówczas zaczęto uniwersyteckie miasto — dumę węgierskiego Planu 5-letniego, jeden z najnowocześniejszych w Europie Miskolcki Uniwersytet Techniczny Przemysłu Ciężkiego.

Gdy późną wiosną bieżącego roku oglądałam budynki tej z olbrzymim rozmachem powstającej uczelni, minęło zaledwie dwa lata odkąd pierwsze uderzenia oskardów, buldożerów i koparek spłoszyły z trzcin skrzydlatych mieszkańców doliny — a już spełniał się pierwszy etap planu. W pachnących jeszcze świeżą cegłą budynkach uniwersytetu dojrzewa już młoda kadra socjalistycznej inteligencji technicznej. Nie było bowiem chwili do stracenia. Kośćcem siły państwa demokracji ludowej jest dynamiczny rozwój przemysłu ciężkiego. Wiedzą o tym inżynierowie i robotnicy budujący uniwersytet w Miskolc, wiedzą o tym studenci, dla których uczelnia ta jest nie tylko kuźnią wiedzy, lecz również kuźnią ideologicznego dojrzewania.

Węgierscy przodownicy pracy — przezwyciężają kalendarze, stwarzają nowe, iście szalone w swoim jak lawina górska rozmachu. Czas?! Czas okazuje się pojęciem względnym, pojęciem podporządkowanym woli człowieka — czas s o c j a l i s t y c z n y regulowany jest biciem innych zegarów: tętna człowieka, jego woli, mózgu, serca.

Trzeba „kochać pracę". Te słowa wracały jak refren w rozmowie jaką miałam z Ignacym Piokerem, słynnym na cały kraj węgierskim stachanowcem, który w ciągu dwudziestu trzech miesięcy wykonał plan pięcioletni. Zakpił sobie po prostu z kalendarza, odziedziczonego po dawnych czasach i stworzył swój własny, dostosowany do nowych czasów. Z Ignacym Piokerem spotkałam się we wspaniale urządzonym domu wypoczynkowym dla stachanowców w górach Matra, na szczycie Galyateto. Przed wyzwoleniem dom ten był miejscem wczasów dla wielkiej burżuazji, właścicieli olbrzymich przedsiębiorstw przemysłowych, odpoczywających tutaj po „ciężkich trudach" zbijania kapitału. Dziś przebywają tu na dwutygodniowych, najzupełniej bezpłatnych, komfortowych wczasach, stachanowcy wszystkich zawodów, górnicy, murarze, ślusarze, frezerzy itp.

Jechałam tam z Lillafüred wijącą się fantastycznymi serpentynami drogą górską. Cała kraina gór Bükk i gór Matra jest oszałamiająco piękna.

Ale niemniej oszołomił mnie frezer-stachanowiec Pioker.

W 1951 w marcu oznajmił on Partii: ukończyłem roczny plan na rok 1952. Rząd ludowego państwa odpowiedział na ten komunikat największym odznaczeniem, jakie na Węgrzech może spotkać pracownika. Ignacy Pioker otrzymał nagrodę im. Kossutha!

Kiedy Pioker dowiedział się o tym zaszczycie, odpowiedział natychmiast: „W ciągu dwu lat wypełnię Plan Pięcioletni". Wypełnił go w ciągu dwudziestu trzech miesięcy, ponieważ z pracy wzorem innych stachanowców uczynił wspaniałą sztukę, którą wciąż rozwija i doskonali, ponieważ duszą i sercem brał udział w toczącej się naokoło niego walce o produkcję, o szczęście dla narodu, o socjalizm.

Zofia Rzeplińska

Przez serce narodu

(dokończenie ze str. 1)

Polskę uczynić silną jak nigdy w historii. Czy ci wędrujący już przez 8 lat co tygodnia, co miesiąca, czy oni również nie tworzyli ogniw wielkiego Frontu Narodowego? Czy te ogniwa nie opasały Polski jak długa i szeroka?

Kiedym się znalazł w fabryce Ursusa, objął mnie taki huk, jak w Tatrach podczas halniaka. Ale halniak głuszy nasze życie i pustoszy je, ten zaś wytacza z hal fabryki żelazne konie, aby przemieniło się nasze życie na wsi. I inny to halniak — robotniczy! Pytali mnie monterzy traktorów czy nie za gorąco mi w góralskim kożuchu. A pewnie że gorąco. Alem się spocił i dlatego, że w sercu poczułem ciepło z radości wielkiej. Widziałem jak robotnicy dumni są z tej pracy, która niesie w kraj dowody sojuszu robotniczo - chłopskiego i umacnia spójnię, umacnia Front Narodowy.

Chłopi, którzy byliście w Warszawie, w sercu naszego narodu, odnówcie ciepło radości, jaką przeżywaliście wówczas i wznieście gorącą falę miłości i poparcia dla Programu wyborczego Frontu Narodowego wśród ludzi waszego terenu!

Jacek Michniak

MARIAN ŚWIETLIK i STANISŁAW ŚWIĄTEK

Biedacy, już nie biedni



Foto: J. K. Maciejewski

GDY porównać gospodarkę we wsi *Proszenie*, położonej 10 km od Piotrkowa Trybunalskiego, w woj. łódzkim, przed wojną i dziś, rzuca się w oczy ogromna zmiana *).

Szybkie uprzemysłowienie kraju, wzrost liczby ludności czerpiącej utrzymanie z pracy w zawodach pozarolniczych wywołały ogromny wzrost zapotrzebowania na artykuły rolnicze, wyznaczyły nowe kierunki upraw i hodowli. O ile przed wojną podstawowymi kulturami uprawowymi były tu, w Proszeniu — rośliny zbożowe, zajmujące do 70 proc. powierzchni uprawnej oraz ziemniaki i w nieznacznym odsetku rośliny pastewne oraz przemysłowe (te ostatnie uprawiane na własne potrzeby) — to obecnie widać wyraźny spadek obszaru zasiewów zbożowych na korzyść roślin pastewnych i przemysłowych. Zwiększenie obszaru pastewnych to wynik większego zainteresowania rolnika dla hodowli i zmian w kierunkach hodowli. O ile przed wojną przeważało w hodowli bydła nastawienie na „kierunek mięsny" (duża ilość jałowizny), to dziś przeważa „kierunek mleczny" (ogromny wzrost procentowy ilości krów mlecznych). Źródłem mięsa natomiast staje się na omawianej wsi piotrkowskiej wyraźniej niż przed wojną hodowla trzody. Notujemy bowiem w tej dziedzinie ogromny (o blisko 100 proc.) wzrost hodowli tuczników oraz macior.

Przy ogólnym wzroście wyników hodowli a zwłaszcza krów i wagi rzeźnej bydła i trzody, towarowość zarówno gospodarstw mało jak i średniorolnych nie wzrosła w tym samym stosunku, głównie z powodu zwiększonej konsumpcji wsi, mającej dziś o wiele większe dochody z zajęć pozarolniczych w porównaniu z przed wojną.

Podobnie jest z produkcją zbożową. Nadwyżki, pozostałe chłopu po wykonaniu obowiązkowych dostaw, idą na własne spożycie i spasanie. Gospodarstwa posiadające nadwyżki zbóż zbywają je bowiem nie w miastach, lecz sąsiednim gospodarstwom na chleb czy na paszę dla bydła i trzody.

Jeśli chodzi o uprawę roślin przemysłowych i innych, to w Proszeniu dopiero po wojnie przystąpiono poraz pierwszy do uprawy buraków, pojawiły się konopie przemysłowe, rozszerzył obszar uprawy lnu, pewną rolę zaczynają odgrywać i warzywa.

Podobne przemiany zaobserwowaliśmy i w *Wysokiej*, pow. łańcucki, w woj. rzeszowskim. Zakontraktowano tu np. w roku 1952 (na 1282 ha ogólnej powierzchni) 57 ha roślin takich jak: buraki, len, koks-sagis, rącznik itp. Charakterystyczne jest, że i tu ogromnemu wzrostowi hodowli (przed wojną np. gosp. do 2 ha posiadało przeciętnie 1 krowę i 1 cielę i 1 świnię, dziś co najmniej 2 krowy i 2 świnie; gosp. od 2 do 5 ha przed wojną 2 krowy i — 2 świń, dziś co najmniej 3 krowy i 3 świnie itd.) nie towarzyszy odpowiadający mu wzrost towarowości. Spożycie bowiem w omawianej wsi łańcuckiej ogromnie wzrosło. Według szacunkowej oceny samych miejscowych chłopów dziś za minimum spożycia mięsa przyjmuje się: 1 sztukę (od 120 do 150 kg żywej wagi), jedno cielę, kilka lub nawet kilkanaście sztuk drobiu rocznie na jedną rodzinę. W obu wsiach występuje również zjawisko, że znaczna część nadwyżek towarowych wymyka się całkowicie spod kontroli państwa, co najmniej bowiem 1/3 produkcji mięsa i niemal cały nabiał trafia na rynek niekontrolowany.

Szybkie uprzemysłowienie kraju zmieniło również do gruntu zaopatrzenie wsi w środki produkcji. W takiej np. *Wysokiej* w ciągu *wiosny* 1952 wysiano ok. 500 q nawozów sztucznych, a więc ilość kilkakrotnie przewyższającą *roczne* spożycie nawozów tej wsi nawet w latach najlepszej koniunktury przed wojną.

Jeśli chodzi o użycie maszyn, to dzięki istnieniu dobrze wyposażonego Gminnego Ośrodka Maszynowego w *Wysokiej* już do rzadkości należy sąsiedzkie wypożyczanie maszyn rolniczych. Tym samym poważnej redukcji uległy możliwości wyzysku biedoty. Takie prace np. jak młocka są już w Wysokiej niemal w całości zmechanizowane.

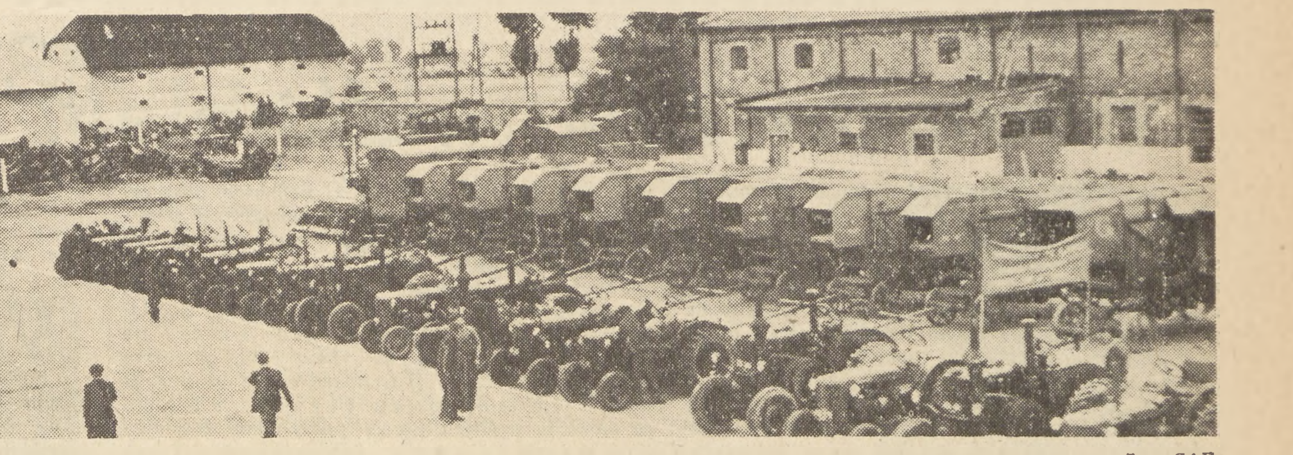
Podobne zjawisko wyraźnie występuje i na omawianej wsi piotrkowskiej. Kreślony przez nas obraz byłby niepełny, gdybyśmy pominęli sprawę elektryfikacji (energia i światło) oraz radiofonizacji wsi. Nie trzeba chyba dodawać jak ogromne perspektywy podniesienia produkcji rolnej, dodatkowych zajęć, podniesienia stopnia oświaty i kultury otworzyły się w takiej np. Wysokiej z chwilą pełnej jej elektryfikacji i radiofonizacji w grudniu ubiegłego roku.

Dlatego używając słowa „biedota" w odniesieniu do mieszkańców wsi Proszenie czy Wysoka, nie można ich używać w sensie przedwojennym.

Dawna biedota, stanowiąca niegdyś ogromną większość ludności omawianych wsi dzięki dodatkowym dochodom z przemysłu, uzyskiwanym bezpośrednio (zatrudnienie) lub pośrednio (rozszerzenie rynku zbytu na bardziej rentowne produkty roślinne i hodowlane) żyje dziś co najmniej na poziomie przedwojennego zamożnego średniaka. Na wsi piotrkowskiej, termin „biedota wiejska" w dawnym tego słowa znaczeniu, możemy odnieść tylko do jednej rodziny spośród 19 z 1939 r. Jest to rodzina zarobkująca jeszcze u kułaka. A zdarza się coraz częściej, że dawne rodziny biedniackie, szczególnie te, których członkowie pracują w sektorze socjalistycznym, znacznie przewyższają swoim dostatkiem gospodarstwa średniackie. Wyrazem tego jest fakt, że stają się one źródłem kredytu sąsiedzkiego dla gospodarstw średniackich. O wzrastającej stopie życiowej tych niegdyś biedniackich wsi świadczą również chociażby takie fakty jak rosnące stale na wsi łańcuckiej obroty dwóch filii GS „Samopomoc Chłopska" (wzrost ze 112.000 zł jak za I kwartał 1951 r. do 142.000 zł w I kwartale 1952 r.), jak spożycie cukru wynoszące przeciętnie około 19 kg na głowę ludności, posiadanie przez wieś około 200 rowerów, 6 motocykli, 12 radioodbiorników lampowych, jak prenumerata jednego — dwóch czasopism przeciętnie na rodzinę. Wydatny wzrost zaopatrzenia w artykuły przemysłowe notuje się również na wsi piotrkowskiej i dotyczy zwłaszcza ostatniego roku.

Marian Świetlik i
Stanisław Świątek

*) *Patrz — Część I-sza, „Wieś" Nr 35. 1952.*



Fo.o CAF

ALEKSANDER KUCIEL

W trzech powiatach trzecia jesień...

NASZ POM — Bestwina pow. Bielsko powstał 15 lipca 1950 roku. Przed młodą niedoświadczoną załogą stanęło z miejsca odpowiedzialne zadanie — mieliśmy bowiem obsłużyć maszynami trzy wcale nie małe powiaty — Żywiec, Oświęcim i Bielsko. Wokół nas jak okiem sięgnąć ziemia pagórkowata, miejscami nawet górzysta, gleba zwięzła, trudna do przeorania zwłaszcza w okresach suszy. Nie baliśmy się jednak przyrody, chociaż myśleliśmy z niepokojem o wielkich, kilkudziesięciokilometrowych przestrzeniach, jakie wypadało przemierzać w okresach siewów i zbiorów, przygotowywaliśmy się jednak głównie na spotkanie z wrogiem klasowym. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie brak na naszym terenie zręcznych kułaków, skupionych głównie w takich gromadach powiatu bielskiego jak Bestwina, Czechowice, Zabrzek i Międzyrzecze. Jaką wobec nas zastosują taktykę? — nad tym pytaniem zastanawiał się nasz Wydział Polityczny.

Nasz tabor maszynowy był początkowo bardzo szczupły — 15 traktorów i niewielka liczba maszyn towarzyszących — na trzy powiaty. Nikłych doświadczeń załogi nie mogły wyrównać dobre chęci. Trudności pogłębiał jeszcze jeden fakt — nie mieliśmy warsztatów remontowych, brakowało nawet zwykłej szopy, pod którą możnaby schować maszyny przed deszczem, nie mówiąc już o jakimś takim dachu nad głową dla ludzi. Na siedzibę wyznaczono nam zabudowania dworskie po rozparcelowanym folwarku arcyksięcia Habsburga. Wszystko, dosłownie wszystko, zastaliśmy zniszczone, dachy przeciekały, ściany popękane, w oknach i drzwiach brakowało futryn, wydawało się, że silniejszy wiatr rozsypie te żałosne resztki w proch.

Różne i nieraz bardzo na oko skromne bywają początki dziejów instytucji, zakładanych przez rząd ludowy na wsiach. W różny sposób zaprawiają się ludzie do stojących przed nimi zadań. Nie na szerokich polach spółdzielczych, ani na chłopskich skrawkach ziemi zdobyliśmy pierwsze ostrogi. Nim nasza załoga dosiadła traktorów i przeorała setki i tysiące hektarów, dokonaliśmy pierw gruntownego remontu siedziby POM-u. Nie mogliśmy przyjąć oferty Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego, gdyż obiecywało nam ukończenie robót dopiero na połowę wiosny 1951 roku. Byliśmy gotowi, pracując we własnym zakresie, jeszcze przed zimą 1950 roku. W ten sposób uczciliśmy 33 rocznicę Rewolucji Październikowej. Zamiast 24 milionów złotych wydaliśmy 470 tys. zł, licząc w starej walucie. A co niemniej ważne — ludzie, nasi młodzi ludzie, przeszli twardą szkołę, w której uczyli się odpowiedzialności za powierzony im odcinek pracy, uczyli się skracać miesiące do tygodni, a nawet dni. Równocześnie jeszcze przed zimą część załogi zdobywała pierwsze doświadczenia produkcyjne. Zdopingowani powodzeniem prac remontowych nasi traktorzyści zdobyli serca spółdzielców z Dankowic, Wilamowic, Hałanowa, Krakowa, Starej i Nowej Wsi. W tej atmosferze wielkiego wysiłku wyrośli szybko pierwsi przodownicy. Oto nasza duma — traktorzysta Łysek Józef, wyrabiający już wtedy przeciętnie 130 proc. normy, oszczędzający 2 kg paliwa na 1 ha orki średniej, a za nim Pamła Stanisław, Zemonek Alojzy — brygadzista, który wyszkolił na świetnych traktorzystów dwóch swoich braci — Karola i Adolfa. Pokazał co potrafi i Dudys Michał — dyspozytor, dobry organizator, niestrudzony w agitowaniu chłopów za traktorową gospodarką. Ale poważniejsze osiągnięcia przyszły w roku następnym wraz z koniecznością rozwiązania nowych trudności, jakich nam nasz dalszy rozwój nie szczędził.

*

Ledwo wiosenne słońce stopiło śniegi i wyschła ziemia, spadły na nas kłopoty i to w części takie, których nie przewidzieliśmy. Zasugerowaliśmy się pierwszymi sukcesami nielicznych przodujących traktorzystów, podczas gdy w swej masie załoga pozostawała nadal bez dostatecznych doświadczeń. Nasi traktorzyści byli zupełnie nieobeznani z maszynami rolniczymi, nie umieli stosować głębokości orki zależnie od gleby. Przyroda okazała się w tych stronach groźniejsza, niż nam się wydawało. Zbita ziemia nie ustępowała, trzeba było nieraz powtarzać orki. Radosny fakt przybywania nowych maszyn i ludzi wiosną 1951 roku zmusił nas do zwrócenia baczniejszej uwagi na szkolenie naszych Kadr. A przed nami ziemie dziesięciu spółdzielni produkcyjnych! I spółdzielcy nie posiadali jeszcze należytego doświadczenia w gospodarowaniu po nowemu. Pokrajali swoje ziemie na małe kawałki, że przypominała chłopskie indywidualne poletka. Wychodzili na nie nieregularnie, szwankowała jeszcze dyscyplina pracy, trudno było mówić o socjalistycznej moralności. W tych warunkach naszego zetknięcia się z powiatami — żaden traktorzysta nie wykonywał dziennej normy na swój ciągnik.

Aż do żniw trwała uporczywa walka o podniesienie kwalifikacji naszej załogi. Trzeba z dumą powiedzieć, że wysiłki Wydziału Politycznego dały szybkie i pomyślne wyniki. Praca uświadamiająca, popularyzowanie osiągnięć przodujących traktorzystów — braci Zemanków, Łyska, Pamły, drogą narad, dyskusji, poprzez „Błyskawice" i gazetki ścienne, dokładne analizowanie osiągnięć i niedomagań każdego poszczególnego traktorzysty, ogłaszanie wyników na tablicy współzawodnictwa, pobudziły ambicje załogi. Rozkwitło współzawodnictwo, rosło poczucie obowiązkowości, wyrabiał się socjalistyczny stosunek do pracy.

Przy tej okazji odsłoniła się klasowa problematyka wewnątrz POM-u. Starszy agronom Chodowski Rudolf rozsiewał pośród członków załogi plotki, jakoby Wydział Polityczny „usiłował wypruć z człowieka ostatnie żyły, wprowadzał bałagan przez to współzawodnictwo". No cóż, pojawił się wróg. Zdemaskowaliśmy go na zebraniu podstawowej organizacji portyjnej, wydalili z pracy i partii. Niestety liberalny w doborze kadr Wydział Rolnictwa i Leśnictwa przy PRN w Oświęcimiu przyjął go do pracy na tym samym terenie.

Nasi traktorzyści poznali dobrze technikę prowadzenia maszyny, radzili sobie z mniejszymi awariami w polu, budząc swoją sprawnością podziw chłopów. Ale chłopi indywidualni i spółdzielcy złorzeczyli nam nieraz i tęgo wymyślali w czasie żniw z innego powodu. Oto snopowiązałki psuły się z niewiadomych — jak się nam zdawało — przyczyn. Skosi hektar, stanie i dalej ani rusz. Odkryliśmy stosunkowo łatwo przyczynę tych nowych trudności, ale ich przezwyciężenie wymagało czasu. Sprawa prosta jak drut — nasi chłopcy, nieźli mechanicy traktorowi, pojęcia często nie mieli o mechaniźmie snopowiązałki. Wystarczyło zatem byle głupstwo, aby chłopak rozłożył bezradnie ręce, czekając na mechanika odległego o kilkanaście kilometrów. Należało szybko zwiększyć poziom kwalifikacji załogi, powiększyć go o nową specjalność, gdyż inaczej trudno było liczyć na to, że jeden jedyny mechanik — **Lechowski Franek** da radę z reperacją maszyn. Dzielny ten młodzieżowiec wespół z dyrektorem POM-u **Prokopieniem**, tokarzem **Wójcikiem Antonim** i zetempowcem — **Koźmicem Stefanem** — nie sypiał po nocach, nieustannie doglądając sprzętu żniwnego. Miotali się po gminach, przerzucali błyskawicznie z powiatu na powiat, gnani poczuciem odpowiedzialności za wykonanie planu, porywając za sobą całą młodą załogę. W zimie założyliśmy swojego rodzaju szkołę. Najbardziej obznajomieni ze żniwiarkami i snopowiązałkami prowadzili wykłady, wspólnie z resztą dokonywali remontów. Dziś prawie wszyscy dadzą sobie radę z ewentualnymi awariami, jeżeli maszyna poważnie nie „zachoruje" i nie będzie trzeba oddać jej na „kurację" do warsztatu.

A oto nasz roczny bilans. Kreślę go trochę wzruszony, pamiętam bowiem, jakby to było dzisiaj, owe trudności, pamiętam ambitne, zapalone do pracy twarze współtowarzyszy pracy. W drugim półroczu większa część traktorzystów przekraczała już normy. Siewy wiosenne i jesienne oraz żniwa zostały wykonane zgodnie z planem. Jeszcze wiosną zdołaliśmy obrobić tylko 600 ha ziemi, należącej do 7-miu spółdzielni produkcyjnych. Na pola indywidualnie gospodarujących nie zdołaliśmy wyjechać. Jesienią zoraliśmy już około 1000 ha ziemi indywidualnych chłopów! I pomogliśmy już wszystkim spółdzielniom produkcyjnym, których liczba wynosiła podówczas — 10.

*

Tego roku stanęliśmy przed najtrudniejszymi problemami do rozwiązania. Dysponujemy już zaprawianą załogą, posiadamy pokaźną liczbę traktorów, mamy ich bowiem 26, odpowiednią ilość pługów, bron, kultywatorów, 24 snopowiązałki, 3 doskonałe, budzące ogólny podziw, koparki radzieckie i tyleż sadzarek, oraz sporo innego drobnego sprzętu. Możemy nim śmiało obsłużyć conajmniej 2.000 ha!

Ale też z całą ostrością wystąpiły specyficzne cechy obsługiwanych przez nas powiatów, zaostrzyła się jak nigdy walka klasowa. Idą przez nasze strony zasadnicze przemiany, rosną nowe spółdzielnie produkcyjne. Sporo chłopów było w kołchozach Związku Radzieckiego, zwiedziło dobre, okrzepłe już kolektywy w naszych stronach. Wspólne narady, odbywane w powiatach i gminach stworzyły warunki na powstanie komitetów założycielskich. Na krótkiej przestrzeni czasu od maja do sierpnia br. powstały w powiecie bielskim 2 spółdzielnie produkcyjne w Jasienicy i Starym Bielsku, a komitety założycielskie w gromadach — Biery, Międzyrzecze Dolne i Mażańcowice. W powiecie Oświęcim powstały 4 nowe spółdzielnie w Pisarzowicach, Heczmarowicach, Hermeży i Polance Wielkiej. Rosną te spółdzielnie w ciężkiej walce klasowej z miejscowym kułactwem, które, kiedy jak kiedy, ale tego roku pokazało co potrafi.

Bogacze uprawiają w naszych stronach spekulację i wyzysk na wielką skalę. Wykorzystują bliskość przemysłowego Bielska, gdzie paskują na czarnym rynku, pociągając możliwościami łatwego zarobku wielu niezdecydowanych średniaków. Oczywiście fakt powstania spółdzielni produkcyjnej na przedmieściu Bielska znacznie im utrudnia przedostanie się na czarny rynek miasta, mimo tego ofensywa kułacka, obliczona na załamanie socjalistycznego handlu, trwa z całą siłą.

Wystąpili do otwartej walki również i przeciwko nam. Posiadają dużą liczbę maszyn rolniczych, ale kiedy nie było naszego POM-u, nie wiele się tu wiedziało o kułackich maszynach, tak je zręcznie przed spisem ukryli. Dopiero teraz pojawiły się w gromadach jak grzyby do deszczu. Wróg nie liczy się z kosztami, remontuje żniwiarki i snopowiązałki, by je następnie rzucić do walki przeciwko nam.

Dwoimy się na polach a wieczorami prowadzimy akcje polityczne we wszystkich trzech powiatach. Dopomogliśmy spółdzielcom z Kaniowa, pow. Bielsk, przy zorganizowaniu współzawodnictwa. Dziś walczą i współzawodniczą o wyższą wydajność z ha wszystkie kolektywy. Kaniowianie premiują swoich przodowników pracy w ten sposób, że doliczają im odpowiednią ilość dniówek obrachunkowych. Nasz Wydział Polityczny, wespół z Komitetem Powiatowym Partii dopomógł w przeprowadzeniu nowych wyborów do zarządów spółdzielni w Hołmowie i Wilamowicach pow. Oświęcim. Pierwsza z nich usunęła radykalnie bumelantów, którzy wracają obecnie zapewniając, że będą rzetelnie pracowali .W drugiej nowy energiczny zarząd doprowadził do tego, że wspólnym wysiłkiem wybudowali spółdzielcy nowe stodoły i obory. Pod naszą opieką kwitnie imponująco Kaniów. Niech was te cyfry nie nudzą, mówią bowiem o naprawdę szybkim rozwoju kolektywu, podziwianym przez okolicznych chłopów. 40-tu ludzi posiada na 96 ha ziemi — 35 sztuk bydła (na początku — 6), 45 sztuk trzody chlewnej (nie było ani jednej w chwili powstania spółdzielni). Powstała „kurza ferma", przybywa uli, zakończono zarybianie 3 stawów. Radują oczy naszych traktorzystów dorodne zboża, cieszy fakt, że rzepak daje 19 q z ha.

Zbieramy właśnie plony naszej pracy nad spółdzielniami produkcyjnymi. Rudzica, przed wszystkimi gromadami oddała pierwsza zboże państwu i to w 150 proc., za nią — Kaniów, pociągając za sobą resztę chłopów. W chwili, gdy kreślę, być może niewprawnie, dzieje naszego POM-u, wszystkie kolektywy wykonały plan dostaw zboża dla państwa.

Przybywają do nas młodzi spółdzielcy, uczą się na traktorzystów lub mechaników i już pozostają. Fakty nie bez znaczenia, bowiem nie zapominają o macierzystych, socjalistycznych już wsiach. Oto nie dalej jak przed kilku dniami, brygada braci Zemanków, pochodząca ze spółdzielni produkcyjnej w Dańkowicach zobowiązała się, iż dołoży wszelkich starań, by „ich" kolektyw podniósł wydajność z ha o 2 q w stosunku do roku ubiegłego.

Ale postawiony na początku problem nie został rozwiązany. Przybyło 6 nowych spółdzielni, z komitetów założycielskich wyłoni się jeszcze kilka tego roku. Obejmują one obszar około 2.000 ha, a więc akurat tyle ile możemy obrobić. Czy wyjedziemy jesienią na pola chłopów indywidualnych, wyczekujących przecież na nasze maszyny? Jak tę sprzeczność rozwiązać? Usłyszycie jeszcze o tym od nas.

Aleksander Kuciel

STANISŁAW CIEŚLAK

Siła nabywcza w roku 1951

PRZED wojną w r. 1938 nieliczna garstka kapitalistów miejskich, obszarników, związanych z nimi przedstawicieli t.zw. „wolnych zawodów" zagarniała dla siebie ok. 50 proc. dochodów pieniężnych ludności całego kraju, dochody zaś pieniężne robotników i pracowników umysłowych stanowiły zaledwie ok. 40 proc., chłopów zaś tylko ok. 10 proc. pieniężnych dochodów ludności całego kraju.

W tym samym też stosunku kształtowała się i siła nabywcza tych grup ludności kraju i ich udział w zakupach wszelkiego rodzaju towarów na rynku.

W ciągu ostatnich lat władzy zaszły w tej dziedzinie ogromne przemiany. Nie tylko wzrósł o 70 proc. cały nasz dochód narodowy, a w związku z tym i ogólna suma pieniężnych dochodów ludności kraju, ale zmienił się całkowicie podział tych dochodów pomiędzy różne grupy ludności. Robotnicy i pracownicy umysłowi dysponują dziś 70 proc. dochodów pieniężnych ludności całego kraju, chłopi — 24 proc., udział zaś innych grup społecznych ograniczony został do 6 proc.

Przed wojną 2700 tys. robotników i pracowników umysłowych nabywało dla siebie i swych rodzin ok. 40 proc., a 3500 tys. właścicieli gospodarstw chłopskich — tylko ok. 10 proc. towarów sprzedanych w kraju, dziś 5,2 milionów robotników i pracowników umysłowych jest w stanie zakupić 70 proc., a 3 miliony właścicieli gospodarstw chłopskich — 24 proc. wszystkich towarów sprzedawanych w kraju. Trzeba tu od razu zaznaczyć, że mówimy wyłącznie o pieniężnych dochodach ludności. Oceniając więc stopę życiową wsi należy uwzględnić fakt, że w przeciwieństwie do klasy robotniczej, której dochody pokrywają się w zasadzie z dochodami pieniężnymi, ludność rolnicza posiada jeszcze dochody dodatkowe, zaspakaja bowiem zwłaszcza w grupie średniorolnych a także i kułackich większość swych potrzeb w zakresie żywności z produkcji własnego gospodarstwa, produkcji, która ni przechodzi przez rynek.

Jeśli dodamy do tego fakt, że z całości dochodów pieniężnych ludności kraju 84 proc. wydatkowane zostaje na ubranie i wyżywienie, 5 proc. na komunikację, 4 proc. na czynsze i spłaty komunalne a tylko 7 proc. na inne wydatki (łącznie z kulturalnymi), jeśli przypomnimy sobie jak ogromne sumy wydatkowała przed wojną małorolna ludność wsi a częściowo i miast na inne cele, dziś w całości niemal pokrywane przez państwo — to ta analiza rzuca dostatecznie chyba wymowne światło na obecną sytuację na rynku i rosnące zapotrzebowanie na artykuły konsumpcyjne, które znikają tak szybko ze sklepów, mimo, że i żywności i przemysłowych artykułów konsumpcyjnych sprzedaje się dziś w mieście i na wsi znacznie więcej niż przed wojną. Ciekawe światło na wysokość pieniężnych dochodów ludności i na ich źródło rzuca również ich analiza terytorialna.



Foto E. Goławski

Wyższe bowiem od przeciętnych dla całego kraju dochody pieniężne i siłę nabywczą wykazuje dziś ludność Warszawy i Łodzi — głównie z powodu zwiększonych możliwości zarobkowania kilku osób w rodzinie, oraz z województwa katowickiego, gdańskiego, szczecińskiego i wrocławskiego, a więc województw najbardziej uprzemysłowionych.

Ludność woj. krakowskiego i rzeszowskiego, przed wojną (przeciętnie) jedna z najuboższych w kraju, dziś na skutek forsownego uprzemysławiania tych obszarów w okresie Planu 6-letniego osiąga już dochody pieniężne i siłę nabywczą tylko o 20 proc. niższą od przeciętnej w kraju.

Woj. poznańskie, przed wojną jedno z najzamożniejszych, dziś wraz z woj. zielonogórskim ma siłę nabywczą równą przeciętnej dla całego kraju, dało się bowiem znacznie wyprzedzić pod względem rozwoju przemysłu, głównego źródła zamożności kraju, województwom północnym i południowym.

Niższe od przeciętnych dochody pieniężne uzyskuje wciąż jeszcze ludność woj. białostockiego, warszawskiego, kieleckiego i lubelskiego, bo ich struktura zawodowa i procent zatrudnionych w zawodach pozarolniczych daleko jeszcze odbiegają w dół od przeciętnej dla całego kraju.

Analiza pieniężnych dochodów ludności rzuca również ciekawe światło na ogromne rezerwy istniejące w naszym rolnictwie. Spośród ludności ściśle rolniczej, nie zarobkującej dodatkowo w zawodach pozarolniczych, najwyższe dochody pieniężne ze swej gospodarki uzyskują dziś chłopi woj. bydgoskiego, poznańskiego i gdańskiego, znacznie niższe od średnich wykazują chłopi woj. warszawskiego, białostockiego i lubelskiego. Jeśli chodzi np. o wartość gleb, to woj. lubelskie niewątpliwie góruje nad województwem poznańskim, a mimo to różnica między dochodowością tej samej wielkości gospodarstw w woj. lubelskim i poznańskim jest prawie dwukrotna. Świadczy to wymownie o tym, że nie samo gleba, ale wyposażenie techniczne gospodarstwa i jakość pracy gospodarującego decydują o wynikach produkcji rolnej i o dochodowości rolnictwa.

Stanisław Cieślak

WITOLD BILLIP

Kronika z lat walki

MARCOWĄ nocą 1935 roku maszerowała w stronę więzienia w Łomży grupa więźniów. Byli wśród nich starzy podopieczni sanacyjnej „sprawiedliwości", byli i nowoaresztowani. Śląski robotnik Górniak, nieraz już miał do czynienia z policją, dziecko łódzkiego proletariatu, Witek, jako czternastoletni chłopak przeżył swą pierwszą „wsypę", student Antoni od niedawna dopiero utracił wolność. Wszyscy oni wiedzieli, że w łomżyńskim więzienu karnym działa Komuna, wszyscy za pierwsze swe zadanie uważali nawiązanie z nią kontaktu.

Nie zawiedli się. Przeciw tchórzliwym i niewyszukanym intrygom naczelnika więzienia, Szumskiego, przeciw wściekłości wynaturzonych „klawiszy", przeciw „naukowym" metodom absolwentów szkoły policyjnej walczył zwarty, świadomy swych zadań kolektyw.

„Nowi" szybko włączyli się w pracę Komuny. Dzieje tej trudnej, odpowiedzialnej pracy i walki na przestrzeni dwóch długich więziennych miesięcy to treść nowej książki Leona Pasternaka.)*

Trzeba zacząć od pochwał. Wydaje się, że niezwykle prostymi środkami udało się autorowi osiągnąć najważniejsze — wskrzesić zagęszczoną atmosferę lat wzmożonej faszyzacji Polski, ukazać zatrutych tą atmosferą służalców reżimu i przeciwstawić im zespół pięknych, silnych mocą rewolucyjnej idei ludzi — komunistów. Udało mu się rzutować losy więziennej Komuny na tło życia prowincjonalnego miasta, pokazać solidarną walkę proletariatu i parafialno - karierowiczowskie politykierstwo łomżyńskich dygnitarzy.

W ten sposób mała Łomża, której życiu politycznemu nadaje ton rozporządzająca nader skromnymi środkami działania więzienna organizacja robotnicza, stała się polem do ukazania typowego rozkładu sił i typowych procesów walki klasowej w społeczeństwie kapitalistycznym. Tę typowość przedstawianych zjawisk stwierdzić możemy nie tylko przez odwołanie się do naszej pozaliterackiej wiedzy o epoce. Autor w samym materiale powieściowym zawarł szereg celowo nagromadzonych dowodów, świadczących, że opisane w jego książce wypadki nie były w sanacyjnej Polsce czymś wyjątkowym, że — przeciwnie — traktować je należy jako artystyczne uogólnienie zjawisk dla faszystowskich rządów symptomatycznych.

I tak np. dowiadujemy się, że władze centralne są niezadowolone z nazbyt, ich zdaniem, powolnego wprowadzania w życie w katowni łomżyńskiej nowego regulaminu, likwidującego wszystkie prawa więźniów politycznych, że są więzienia, które ten regulamin już zdołały wprowadzić. A więc bywało jeszcze gorzej! Poznajemy świetnie kilkoma rysami nakreśloną sylwetkę dyrektora departamentu więziennictwa z Warszawy, ograniczonego, tępego, a jakże podłego stupajki. A więc tacy ludzie decydowali o losie więźniów! Czytamy o ustrętnych wyczynach aspiranta Knora, inteligentnego, pojętnego ucznia szkoły policyjnej. A więc tak wyglądał ideał burżuazyjnego „stróża porządku"!

Obrazu dopełniają napół publicystyczne komentarze autorskie, dalekie od gazeciarskiej łatwizny, uderzające sumienną, gruntowną, bo i na własnym doświadczeniu opartą znajomością przedmiotu. Spojone z materią książki tym samym tonem ideowej żarliwości, pisane tym samym prostym, jasnym językiem beznamiętnej pozornie relacji, znakomicie uzupełniają wymowę powieści, nie obniżając jednocześnie jej wartości jako dzieła sztuki.

Trudno w tym miejscu nie skorzystać z najprzyjemniejszego bodaj obowiązku recenzenta: wskazania szczególnie mocnych, najpełniej streszczających w sobie zalety prozy Pasternaka fragmentów książki Należy tu niewątpliwie obraz sparaliżowanego Żyda — samuka Werby i jego ucznia i opiekuna — wiejskiego osiłka Sosny. Podziw i szacunek wywołuje scena, gdy naczelnik Komuny Bratkowski, jeszcze przed chwilą gotów przyjść z pomocą choremu towarzyszowi, odwraca się od niego bezlitośnie, gdy dowiaduje się, że ma do czynienia ze zdrajcą. Dobra jest także końcowa partia książki: wielki „raban" w więzieniu raz jeszcze wskazuje na siłę Komuny i raz jeszcze przedstawia głupotę i tchórzliwą bezradność władz z owym stołecznym dyrektorem departamentu, tak śmiało rozwiązującym przez międzymiastowy telefon wszystkie drażliwe kwestie na czele.

*Zatrzymać się jeszcze trzeba nad centralną chyba przy ocenie książki Pasternaka kwestią: nad sprawą poetyki „Komuny". Że problem to trudny, świadczą najlepiej uwagi recenzenta „Nowej Kultury", Henryka Berezy**). Uwagi ciekawe, choć fragmentaryczne i choć nie w całej pełni wypadnie się z nimi zgodzić.*

Stwierdziwszy, że poza naczelnikiem Szumskim brak w omawianej książce postaci potraktowanych epicko, wskazuje recenzent jako przyczynę tego stanu rzeczy stosunek autora do omawianych ludzi. Stosunek liryka, którego „intersuje przede wszystkim piękno lub szpetota przedstawionej postawy bohatera", co zdaniem Berezy prowadzi do ukazywania ludzi poprzez ich poszczególne zachowania się, a nie w epickich, przyczynowo - skutkowych powiązaniach. Wyjaśnienie to, acz efektowne i niezupełnie pozbawione racji, pozostawia jednak poważne wątpliwości Dlaczego właśnie tylko Szumski doczekał się pełnego, epickiego wizerunku? Dlaczego nie przeciwstawiono mu bohatera pozytywnego spośród więźniów lub walczących na wolności towarzyszy? Bereza znajduje tu wyjście: przeciwwagę stanowi Komuna jako całość. Sęk w tym, że krytykowi wydaje się, iż rozwiązał problem. Nic podobnego! On go dopiero postawił, i to niezupełnie prawidłowo.

Bo jeśli przyjmiemy koncepcję Berezy, niejasny pozostanie dla nas fakt, w jaki sposób przez ukazanie szeregu lirycznych migawek stworzyć można epickiego, choćby „zbiorowego", bohatera. No i wymknie się nam ocena, tak jak — na dobrą sprawę — wymknęła się ona Berezie.

Wydaje się. że źródeł koncepcji książki szukać należy gdzie indziej. Po pierwsze byłyby to tradycje międzywojennej „powieści proletariackiej", żeby wspomnieć choćby „Ziemię w jarzmie" Wasilewskiej z jej rezygnacją z bohatera jednostkowego i ideą gromady jako bohatera. Realizacja tej idei wyglądała w praktyce tak, że „techniką zbliżeń filmowych" (zwrot Berezy) ukazywał autor szereg postaci, z których każda reprezentować miała jakąś charakterystyczną dla gromady jako całości cechę psychiczną, a wszystkie razem tworzyły „psychikę zbiorową" grupy, ukazywać miały jej oblicze moralne i jej dążenia. Metoda ta, choć dawała czasem, jak w przytaczanej książce Wasilewskiej, poważne rezultaty, miała zasadniczy mankament: żaden „zbiorowy bohater" nie zastąpił bohatera jednostkowego, bo nigdy wiedza o typowym dla jakiejś warstwy zespole cech psychicznych nie zastąpi nam wiedzy o indywidualnej psychice poszczególnych ludzi. „Powieść proletariacka" nie stworzyła bohatera pozytywnego. Nie stworzył go również Pastrnak.

Jednak, aby uniknąć zbyt pochopnej oceny, rozważyć musimy następne zagadnienie. Sygnalizowałem już, że „Komuna miasta Łomży" nie jest, ściśle rzecz biorąc, powieścią, utworem epickim. Tu trzeba by wskazać sa to, co Bereza nazwał punktem widzenia l i r y k a, a w czym ja skłonny byłbym raczej upatrywać stanowisko k r o n i k a r z a. Pasternak opisuje swe postacie nie tylko migawkowo, ale z pozycji zewnętrznego obserwatora, niewtajemniczonego w szczegóły życia psychicznego przedstawianych ludzi, zmuszonego sądzić ich jedynie po zewnętrznych wystąpieniach. „Komuna miasta Łomży" to przede wszystkim kronika z lat walki, to surowo, bez upiększeń opowiedziane wszystko, co o łomżyńskiej Komunie obiektywnie wiadomo. Autor świadomie zdaje się stwarzać wrażenie wyeliminowania fikcji literackiej, przedstawienia surowej rzeczywistości w całej jej grozie.

Czy wobec takich założeń brak szeroko psychicznie podbudowanej postaci p o w i e ś c i o w e g o bohatera pozytywnego jest rzeczywiście brakiem? Powiedzmy jasno. Gdyby Pasternak umiał utrzymać się konsekwentnie na wskazanej wyżej linii kronikarskiej opowieści, zarzut miałby poważną wadę: dotycząc utworów innego gatunku nie dałby się zastosować do omawianej książki. Jednakże koncepcja „Komuny" załamuje się wyraźnie przy potraktowaniu postaci Szumskiego. Wspomniałem już, że naczelnik więzienia doczekał się pełnej, wnikliwej charakterystyki. Charakterystyka to sama dla siebie zupełnie dobra: jak na dłoni widzimy sylwetkę zapobiegliwego mieszczucha, który dorabia się willi w Gdyni przypadkowo akurat w więzienictwie Równie dobrze i z równym zapałem robiłby to handlując bydłem lub spekulując na giełdzie. Nie o jakąś ideę mu chodzi, ale o karierę, a ściślej o związane z nią korzyści materialne. Tępawy jest przy tym i bardzo boi się żony. Idealne narzędzie do najpodlejszych zadań. Powtarzam: sylwetka bardzo udatna. Lecz w tej formie wyraźnie w książce razi. Autor niepotrzebnie chciał upiec przy jednym ogniu dwie pieczenie. Nie można jednocześnie pisać k r o n i k i o więziennej Komunie i p o w i e ś c i o naczelniku więzienia. Nie występuję tu w obronie jakiejś abstrakcyjnej „czystości gatunku", bronię jednolitości postawy poznawczej w ramach dzieła. A mam prawo czynić to dlatego, że w przypadku „Komuny" stosowanie przy przedstawianiu walki dwóch obozów dwóch różnych punktów widzenia doprowadza do pewnego zamącenia słusznych proporcji ideowych tej skądinąd tak klarowenj i celnej politycznie książki.

Język Pasternaka bardzo prosty, dobrze przystosowany do kronikarskiego charakteru narracji i prawdopodobnie brzmiący w ustach postaci. Autor szczęśliwie przeważnie omija mielizny, które napotyka się przy obfitym wprowadzaniu leksyki specjalnej, w tym wypadku dialektu więźniów i specyficznego słownictwa organizacji rewolucyjnych.

W sumie książka dobra. Dobra przede wszystkim dlatego, że rzetelnie prawdziwa. A to chyba największa pochwała, jaką można wystawić kronice.

Witold Billip

*) Leon Pasternak Komuna miasta Łomży. Warszawa 1952. Wyd. MON, str. 223, 1 nlb.

**) H. Bereza. Mobilizujący dokument walki. Nowa Kultura nr 32 (124), s. 5.

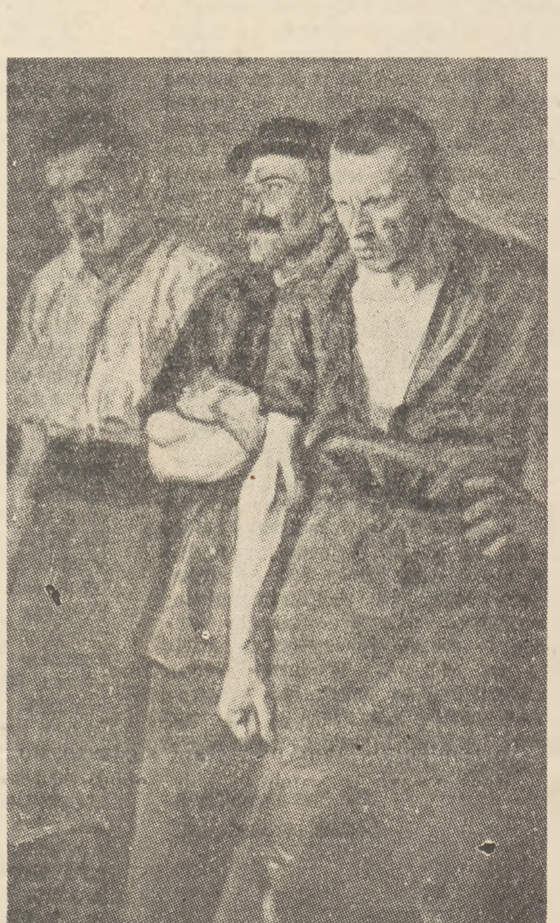
1882 — 1952

70 rocznica „PROLETARIATU"



Ludwik Waryński

Mal. Stanisław Dawski



Mal. Stanisław Lentz

RYSZARD HŁADKO

TREŚĆ PIERWSZYCH DNI

„PIERWSZE dni" *) to tytuł ambitny. Pisarz sygnalizuje, że pragnie zobrazować pasjonujący okres kształtowania się młodego Państwa Ludowego, krzepnięcia sprawiedliwego ładu na zaledwie wydartych wojnie terenach naszego kraju. Książka jednak zamiast problemu, daje ciekawostkę. Opowiadanie Buczkowskiego, to historia wytropienia podczas podróży transportu osiedleńców dwóch zbrodniarzy niemieckich, których poznał jeden z kolejarzy obsługujących pociąg.

Już samo naszkicowanie tematu opowiadania pozwala zauważyć jego braki. Czyżby walka z niedobitkami hitleryzmu była zasadniczą treścią życia Polski Ludowej w maju 1945 roku? Podobne pytanie nie miałoby miejsca, gdyby pisarz cały swój utwór nie poświęcił tylko i wyłącznie tej sprawie.

Dwudniowa podróż osiedleńców na Ziemie Odzyskane w maju 1945, występ byłego kuglarza z cyrku Staniewskich na dworcu, rozmowy konduktorów z pasażerami, czy wreszcie tragiczny wypadek z podróżnym, który spada z dachu pociągu — wszystkie te szczegóły nie mogą stanowić właściwego tła dla sprawy pogoni za zbrodniarzami wojennymi. Nie istnieje bowiem pomiędzy nimi żadna konstrukcyjna więź. Pełnią one samodzielnie rolę odrębnych wątków, z których najważniejszym jest sprawa kontaktów obsługi pociągu z pasażerami.

Transport, o którym pisze Buczkowski, był jednym z pierwszych transportów osadniczych, które miały w wyniku Uchwał Poczdamskich wziąć w posiadanie naszą historyczną spuściznę nad Odrą i Nysą. Wiemy, czym była dla nas ta wielka akcja osiedleńcza. Dlatego wobec możliwości wyboru pomiędzy nią a sprawą likwidacji resztek hitleryzmu, czyż nie na tę pierwszą trzeba było położyć główny akcent tematyczny? Taka bowiem była historyczna prawda 1945 roku. Buczkowski zaś przeciwstawił najżywotniejszemu problemowi naszej wczesnej państwowości detektywistyczną zagadkę.

Zaciążyło to na poznawczej funkcji opowiadania, na jego środkach artystycznych. Charakterystyczną cechą opowiadania Buczkowskiego jest nieumiejętność operowania dużymi grupami ludzkimi. Tam, gdzie zaczyna się mówić o masie, narracja nabiera cech naturalistycznych, pisarz traci z oczu szersze perspektywy zjawisk społecznych: w transporcie jako całości widzi on uosobienie chaosu i rozprzężenia. Wielki, optymistyczny cel polityczny akcji przesiedleńczej roztapia się w nieudolnych dialogach i wspomnieniach konduktorów i postaci (bardzo szablonowych) opowiadania.

„Bohaterowie" opowiadania nie wpływają na ogół czynnie na bieg wydarzeń a konflikty między nimi rozgrywają się w kategoriach magicznego przypadku. Wiala tylko dzięki zbiegowi okoliczności odnajduje poszukiwanego Ostmajera. Bo choć na początku podróży dochodzi do wniosku, że „musi" się on znajdować w pociągu i że „na pewno" go tam schwyci, sam niewiele zdziałał, aby doprowadzić do ujęcia. Również dzięki przypadkowi (niespodziewana pomoc Chmielarskiego) uchodzi cało z rąk innego gestapowca — chyba tylko po to, aby autor mógł jeszcze przez kilkadziesiąt stron pobawić się cierpliwością czytelnika.

Naiwne i nieprzekonywające są kryteria indywidualizacji psychologicznej i ideologicznej postaci. Pozytywni bohaterowie w ślad za dyżurnym ruchu w Ostrowiu wygłaszają takie oto patetyczne i nieudolnie sformułowane mowy:

„Tworzy się nowa forma życia, staje się na naszych oczach wielki fakt historii. Musimy się skupić nad wykonaniem wielkiego zadania, wielkiej potrzeby narodowej" To nie przemówienie, to zwykła rozmowa. A takim językiem u Buczkowskiego posługują się prości kolejarze. Czy takie „kazanie" rzeczywiście mogło z miejsca odmienić tak zakamieniałego rutyniarza, jakim jest Chmielarski?

Dla pełniejszego obrazu należałoby jeszcze powiedzieć o bardzo niedbałym stylu Buczkowskiego. Książka roi się od dziennikarskich wstawek, rozbijających zwartość artystyczną opowiadania. Naiwność przeżyć i wzruszeń ludzkich, rażąca nienaturalność i sztuczność ich odruchów, nieuzasadnione przerzucanie się od nastroju do nastroju — znajduje swoje uzupełnienie w niedbałości językowo - stylistycznej, w manierze wielokrotnego otwierania zdania za pomocą zaimków i przysłówków, aby rzekomo wzmacniać wzruszeniowy efekt słowa. Dlatego np. jeżeli „odwrót" to „paniczny", jeśli „wysiłek" to „nadludzki", jeśli „tajfun" to „potężny" — w rezultacie banalna, szablonowa ornamentyka słowna.

Opowiadanie „Pierwsze dni" zostało oddane przez autora do druku na początku 1951 roku, a więc w chwili, gdy w zasadzie skrystalizowały się już i potwierdziły w dorobku pisarskim dyskusje na temat zasad realistycznego pisarstwa. Co więcej — już wtedy podjęte były pierwsze próby walki ze schematyzmem w literaturze i już wówczas sprecyzowano w najogólniejszych zarysach najbardziej ujemne cechy schematyzmu. Buczkowski jeśli nawet pisał swą książkę dużo wcześniej, miał dość czasu na skorygowanie jej błędów i dostosowanie do wymagań współczesnego etapu rozwoju naszej literatury.

Pisarz nie zrobił tego — a szkoda. Pomimo całej niedbałości rażąco widocznej w książce Buczkowski potrafił niekiedy zabłysnąć dowodami prawdziwego talentu, jak np. przy opisie schwytania niebezpiecznego bandyty z SS „Galizien", gdzie akcja toczy się wartko, posiada szereg dynamicznych spięć dramatycznych a język nabiera żywości i plastyki. W całości jednak książka wymija problemy i nie nosi znamion rzetelnego wysiłku pisarskiego.

Ryszard Hładko

**) Marian Ruth-Buczkowski: „Pierwsze dni" PIW. 1952*

SERGIUSZ MICHAŁKOW

Rubel i dolar

Amerykański dolar pełen samochwalstwa,
Że go przyjmują wszędzie chociaż bez ochoty,
Ważny, że pożyczają go „zachodnie" państwa,
Przypadkiem spotkał się z radzieckim rublem złotym.

Nuż jął się stawiać pysznie, chwalić całą gębą:
„Przede mną drżą jak niewolnicy ludy świata,
Otwarte wszystkie kraje przed moją potęgą,
O łaskę mą minister i prostak kołata.

Potrafię kupić wszystko, na co bierze chęć mnie.
Chcę — do więzienia wtrącam, chcę — darzę łaskami:
Byłem w dalekich Chinach, odwiedziłem Grecję...
Więc czy się może równać rubel z dolarami?"

„A ja się z tobą wcale nie zamierzam równać —
Odparł mu na to rubel. — Dobrze wiem, kim jesteś.
Cóż z tego, że zwiedziłeś wszystko aż po równik,
Że cały świat zjeździłeś z brzękiem i szelestem.

Wystarczy, abyś w jakim kraju się pojawił,
Natychmiast śmierć i nędza kroczą po twym śladzie.
Ciebie za brudne sprawy bierze oprych krwawy,
Ciebie handarz ojczyzną do kieszeni kładzie.

A ja to pieniądz ludu. Lud mnie wziął w obroty,
Lud, który świat buduje i o pokój walczy.
Dlatego więcej ważę niźli dolar złoty...
No, z drogi! Idzie rubel. Przechwałek wystarczy!"

Tłum. G. Timofiejew

LEONARD WALLICHT

Dzieje jednej zbrodni

NASZA znajomość postępowej literatury krajów kapitalistycznych wciąż jeszcze jest niewielka. Chodzi mi o klasyków. Ciągle jeszcze mamy duże zaległości w przyswajaniu pozycji, które klasowa cenzura przedwojenna uważała za szkodliwe. I dlatego niejeden polski czytelnik, biorąc do ręki książkę, uderzającą śmiałością myśli i odwagą ich wypowiedzenia, ze zdumieniem stwierdza, że autor zmarł już przed półwieczem i że w historii literatury swojego kraju zajmuje poczesne miejsce. Takie refleksje nasunęły mi się, gdy przeczytałem powieść „Zbrodnia księdza Amaro" *). Autorem jej jest José Maria de Eca de Queiroz.

Jak informuje krótki, ale obfitujący w wiadomości wstęp tłumaczy, de Queroiz był przywódcą walczącego realizmu, który w owych czasach (lata siedemdziesiąte XX wieku) stanowił nowy kierunek w literaturze portugalskiej.

Dla literatury portugalskiej Queiroz był tym, czym Balzac dla francuskiej. Pierwszą większą powieścią de Queiroza jest właśnie „Zbrodnia księdza Amaro".

Bohaterem utworu, którego akcja toczy się w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, jest Amaro Vieira, młody proboszcz w Leirii, w Portugalii. W jaki sposób Amaro został księdzem? — oto pytanie. Syn lokaja i pokojówki, po rychłej śmierci rodziców, wychowywał się w domu ich byłej pani, markizy de Alegros. Markiza była osobą, której życie wypełniała dewocja, wizyty księży, szycie obrusów dla kościoła i opieka nad „ubogimi". Jak pisze de Queiroz, dla markizy i jej córek — *„religia i dobroczynność stanowiły jedyną rozrywkę"*. Rzecz jasna, że dla takiej osoby jak pani de Alegros, która z domu swego uczyniła niemal zakrystię, sprawa przyszłości osieroconego chłopca nie mogła być zadecydowana inaczej, jak przez postanowienie, że Amaro poświęci się życiu duchownemu. I pod tym tylko warunkiem markiza pozostawiła trzynastoletniemu Vieirze legat.

Po święceniach młody ksiądz przebywa początkowo w ubogiej, górskiej parafii, potem — dzięki poleceniu córki markizy — zostaje proboszczem w Leirii, stolicy okręgu i siedzibie biskupa. Dostaje się tam w środowisko dewotek. Córka gospodyni domu, Amelia, nie zdaje sobie sprawy z fałszywej nabożności otoczenia; wychowywana od dziecka wśród księży darzy ich gorącym uwielbieniem. Między proboszczem a Amelią zawiązuje się bliższa znajomość. Amaro, który początkowo starał się zdusić niedozwolone uczucie, widząc przykład zwierzchnika — odrzuca wszelkie skrupuły. Amelii trudno było się oprzeć człowiekowi *„przewyższającemu archaniołów bogactwem łask"*. Książka obfituje w opisy intryg i sposobów, za pomocą których Amaro i Amelia usiłują ukryć przed opinią swój stosunek, korzystając przy tym z pomocy kanonika. Znajomość z Amarą kończy się dla Amelii tragicznie. Dziewczyna po urodzeniu dziecka umiera. Dzień przedtem proboszcz oddał syna do „fabrykantki aniołków". Tak wyglądają dzieje „zbrodni księdza Amaro". Oto produkty zgniłej moralności burżuazyjnej.

Kim byli ci, którzy „zepsuli" młodego Amarę, szczerze wierzącego w kapłańskie posłannictwo? De Queiroz szczodrze wyposażył swą powieść w portrety księży i dewotek. Ksiądz Brito, ksiądz Natario, kanonik Dias — oto grono, które przykładem swego życia przekonało Amarę, że stan duchowny nie polega na ascetycznych wyrzeczeniach. Wszyscy oni lubują się w wykwintnym jedzeniu i dobrym winie, posiadają utrzymanki; wygodne życie urozmaicają sobie podejrzanymi intryżkami politycznymi i w dodatku cieszą się wielkim szacunkiem otoczenia. Amaro doszedł do wniosku, że to, co mówi się wiernym, niekoniecznie obowiązuje kaznodzieję. Księża — jak Natario — nauczyli Amarę dwulicowości w stosunku do nauk głoszonych wobec ludu; nauczyli — jak Brito — wykorzystywania wiary dla celów politycznych; wpoili w niego pogardę i nienawiść dla ludu (wskazuje na to m. in. radość Amary z powodu stłumienia Komuny Paryskiej).

Ale winę za zbrodnię księdza Amaro ponoszą nie tylko Brito, Natario i Dias. Odpowiedzialność ciąży również na galerii dewotek z ulicy Misericordia. De Queiroz z wolteriańską pasją demaskuje to tak specyficzne dla mieszczańskiej moralności zjawisko, jakim jest obłudna nabożność. Joaneira, Maria Assuncao, dona Josefa, siostry Gansoso potrafią modlitwę łączyć z nienawiścią, z intrygami, plotkarstwem, a nawet jak Joaneira z nierządem. Te „świątobliwe" niewiasty umacniały proboszcza w hipokryzji, a swym kultem dla księży hodowały w nim egoizm: wyolbrzymiały w Amarze świadomość „posłannictwa", a równocześnie zniewalały do wykorzystywania przywilejów „misjonarzy" i jego postępowanie usprawiedliwiały Nic dziwnego, że właśnie w domu Joaneiry, gdzie pachniało woskiem i kadziłem, a kobiety dobierały sobie suknie w kolorach liturgicznych, narodziła się zbrodnia.

Figuruje w powieści postać Joao Eduarda, niedoszłego narzeczonego Amelii. Kiedy Amaro pozbawił go nadziei na zdobycie ukochanej, Joao napisał ostry artykuł demaskujący istotne oblicze księży Leirii. Oczywiście artykuł ten odsunął Amelię od Joao jeszcze dalej. Młodzieniec uchodził za bezbożnika. Później jednak, kiedy pod wpływem księdza Ferrao Amelia poczęła się wyzwalać spod władzy Amary, stary proboszcz jednym zdaniem rozstrzygnął sprawę artykułu: *„Chłopak nic nie napisał przeciw kapłanom lecz przeciw faryzeuszom"*. To samo należy powiedzieć o książce de Queiroza. Postacią kapłana, którą czytelnik darzy pełną sympatią, jest właśnie ksiądz Ferrao, stary proboszcz z Ricosy. O księdzu Ferrao mówiono na ulicy Misericordia, że miał *„dziwne idee"*. Jakież to były te idee? Co czynił ksiądz Ferrao? *„Potrafił w czasie burzy zrobić pół mili, byle ulżyć parafianinowi cierpiącemu na ból zęba; spędzał całe godziny na uspokajaniu staruszki, której zdechła koza... Zawsze był w dobrym humorze, zawsze — choćby miał jednego cruzado w kieszeni — oddawał go na prośbę jakiegoś sąsiada; jako wielki przyjaciel wsiowych malców, wycinał dla nich łódki z kory; ilekroć spotykał jakąś ładną dziewczynę... zatrzymywał się i wołał: Niechaj Bóg błogosławi twej urodzie, panienko!"*. Księdzu Ferrao nikt nie mógł odmówić cnót kapłańskich. Ale chociaż biskupi diecezji zmieniali się jeden po drugim, o proboszcza z Ricosy nikt nie zadbał. Pracując w ubogiej parafii mieszkał pod przeciekającym dachem, żywił się paroma kromkami chleba i kubkiem mleka, chodził w sutannie, na której łaty „tworzyły istną mapę". Jego dobroć i umiłowania prostych ludzi zjednały mu uznanie ludu.

Wartość powieści Queiroza polega na zdemaskowaniu faryzeuszowskiego i reakcyjnego oblicza części ówczesnego kleru portugalskiego, co szczególnie silnie przejawia się w partiach, gdzie pisarz kontrastuje dobrobyt kleru z nędzą mas; a także zademonstrowaniu całej podłości i obłudy mieszczańskiego świata dewocji.

Leonard Wallicht

**) Eça de Queiroz: „Zbrodnia księdza Amaro". Z języka portugalskiego przetłumaczyli: Małgorzata Hołyńska i Eugeniusz Gruda. Czytelnik, 1951; s. 466 i 2 nlb.*

WŁADYSŁAW KULA

Długotrwała pomoc szkoły



Foto: J. K. Maciejewski

12 maja 1947 r. zwolniłem się z czynnej służby wojskowej i postanowiłem poświęcić się pracy nauczycielskiej. Skierowano mnie do wsi Przylesie pow. Brzeg nad Odrą.

Wyobraźcie sobie wioskę na Ziemiach Zachodnich na wiosnę 1947 r. Około tysiąca różnej zbieraniny, głównie zza Bugu i z województwa kieleckiego a po trosze i z innych części Polski. Wszystko jeszcze nie zżyte z sobą i częstokroć skłócone. Nad tę masę zaczynają już wypływać różne świeżo w tłuszcz porosłe indywidua i brać za klasę bogaczy, oddając im po 20 i więcej ha.

W radzie gminnej kułacy — wójtem rzeźnik, niejaki Rulski, czołowy spekulant i wyzyskiwacz, popierany przez starostę Wójcickiego.

Mało i średniorolny chłop pozbawiony był reprezentacji. PPR na tym terenie dopiero rozpoczynało działalność.

W takich warunkach rozpoczynałem pracę nauczyciela. Miałem tę ambicję, by wpływać na życie mojej wsi, a nie być tylko biernym obserwatorem.

Nie chciałem być również partyzantem, w pracy samotnym społecznikiem, podejmującym orkę na ugorze. Wstąpiłem do PPR. W jesieni zostałem I sekretarzem komitetu. Jednocześnie mianowano mnie kierownikiem szkoły.

Kiedy dziś, gdy mamy już w naszej wsi spółdzielnię produkcyjną, spojrzeć na drogę, którą gromada nasza przebyła od tamtego czasu, łatwo dostrzec, jaką rolę odegrała tu szkoła. To ona była najbliższą pomocnicą organizacji partyjnej.

Wkrótce otrzymujemy pierwsze wyniki. Młodzież sama żąda pieśni i książek radzieckich. Dyskusję o spółdzielni produkcyjnej przenosi do domów rodzinnych.

Wyrasta aktyw młodzieżowy — z dwoma harcerzami Stanisławem Marcem i Zbigniewem Ciomborem na czele. We wsi pojawiają się korespondencje w „Świecie Młodych". Kolega Stanisław Pazdon organizuje i szkoli chór szkolny. Nie macie pojęcia jak taki dobrze pracujący chór może pomóc w pracy społecznej. A nasz chór pracuje dobrze. W 1951 r. otrzymał na eliminacjach powiatowych w Brzegu I nagrodę, zwyciężając m. in. chóry Liceum Pedagogicznego i Liceów Ogólnokształcących.

W lecie 1950 roku zakładamy pierwsze spółdzielnie w naszej gminie. W Jankowicach Wielkich i w Przylesiu.

W Jankowicach Wielkich spółdzielnia powstaje na niezbyt zdrowych podstawach — sposobem na poły administracyjnym, co powoduje wrogi podział wsi na dwa zwalczające się obozy, podział bynajmniej nie idący po linii klasowej, a w rezultacie zasklepienie się spółdzielni i oderwanie się od gromady.

W Przylesiu, gdzie inicjatywa założenia spółdzielni wyszła od miejscowego aktywu, gdzie aktyw ten był silny i miał decydujący wpływ w gromadzie, gdzie wreszcie — z czego jestem najwięcej dumny — silne było oddziaływanie szkoły — spółdzielnia natrafiła na grunt przygotowany i mogła rozwijać się na zdrowych podstawach.

Początkowo Jankowice Wielkie wyprzedzają Przylesie pod względem gospodarczym i wybijają się nawet na pierwsze miejsce w powiecie, wykonując w terminie i w stu procentach plan zasiewów. W ten sposób pokazują indywidualnym gospodarzom swojej gromady wyższość gospodarki zespołowej. Ale mimo tych sukcesów gospodarczych na wzrost liczebny na razie liczyć nie mogą. Nie potrafią jeszcze promieniować.

U nas w Przylesiu sytuacja jest wręcz odwrotna. Ciężko nam szło z gospodarką, ale za to oparliśmy się mocno na najważniejszym fundamencie — na ludziach.

Na wiosnę 1951 roku pozyskaliśmy od razu 48 nowych członków tak, że liczyliśmy już 68 gospodarzy z 800 ha ziemi, 60 końmi i 70 krowami.

Z pomocą POM-u wysunęliśmy się powoli na czołowe miejsce wśród spółdzielni naszego powiatu.

Nasz przykład był zaraźliwy. W 1951 roku powstały nowe spółdzielnie w sąsiednich gromadach: Bąków, Młodoszowice i Oborki, przy czym aktywowi tych gromad poszło już o wiele łatwiej niż nam. Ilość gospodarstw, które wstąpiły do spółdzielni, sięga w tych gromadach 95 proc.

Na dobrej drodze do założnia spółdzilni znajdują się także gromady Łukowice Brzeskie i Brzozów. Opóźnienie ich wynika z braku silnego aktywu politycznego i oświatowego.

Najgorzej jest z gromadą Pępice, która jak dotąd nie posiada jeszcze warunków na założenie spółdzielni.

Brak tu podstawowej organizacji partyjnej, a koło ZSL rozbudowane ilościowo reprezentuje b. niski poziom polityczno-społeczny.

I wreszcie jedna jeszcze przyczyna: tamtejszy kierownik szkoły bynajmniej nie jest dla gromady budującym przykładem.

A przecież od nauczyciela tyle zależy.

Władysław Kula

BOGUSŁAW KOGUT

Meldunki z trudnej gminy

NA punkcie skupu ziemiopłodów w Kotomierzu ruch od świtu do późnego wieczora. Przed rampami magazynów ciżba koni i wozów, na wozach czubate sterty pękatych worków. To gmina Dobrcz, największa gmina w powiecie bydgoskim sprzedaje państwu zboże. Suche żyto prosto do wagonów na ładowni, wilgotniejsze — do magazynów suszących, tu jeszcze groch i łubin a tam kapusta. Punkt skupu roi się niczym ogromne targowisko. Nie trzeba się temu dziwić, bowiem GS w Dobrczu to placówka o bardzo wielkiej przepustowości towarowej a plan skupu na gminę sięga cyfry 4.000 ton.

Radując oczy takim widokiem kręciłem się po placu i snułem plany napisania tzw. artystycznego reportażu. Ale nie napisałem. Dlaczego? Bo różne „ale" wnet zaczęły się mnożyć przed moimi oczyma, a niektóre z tych „ale" mogą poważnie zaszkodzić akcji skupu. Wyzbyłem się więc ambicji beletrysty, a uzbroiłem się w słuch i wzrok korespondenta. I nie będzie reportażu — będzie korespondencja z frontu trudnej walki.

×

Trudno człowiekowi nieznającemu detalicznie wewnętrznych komplikacji danego „pionu" — rozeznać się nieraz w tych „ale". Bo na przykład taka sprawa: W GS-ie dzień wypłaty. Robotnicy wyładunkowi, którzy stanęli do pracy nadgodzinowej i od kilku tygodni pracują po kilkanaście godzin na dobe (gdyż punkt skupu czynny jest cały dzień) — odbierają wypłatę. Przy kantorze gwar podniesionych głosów. Robotnik jakiś wali czapką o ziemię i klnie: Nie przyjdę do roboty, niech diabli wezwą wszystko.

O co poszło?

Nie płacą za nadgodziny. Za lipiec GS wypłacił z własnej rezerwy. Ale rezerwa się wyczerpała i za sierpień za nadgodziny nie wypłacono. Pieniądze „nie przyszły". Skąd nie przyszły? Ano — „z góry". Człowiekowi nienajlepiej zorientowanemu w zakamarkach machiny administracyjnej pionu trudno wynaleźć punkt, w którym sprawa utknęła. Mówią, że w PZGS-ach inni, że w Warszawie. Więc zamiast pytać bez końca, kto tam z góry się zdrzemnął, kto zawinił — zapytam: Co będzie, jeśli rozgoryczeni robotnicy nie przyjdą do pracy nadliczbowej, jeśli magazyny zamkną swe bramy o godz. 15-tej, a chłopi, którzy po kilkanaście kilometrów wieźli zboże wrócą z ładunkiem do domu? Plan padnie, bo ani kierownictwo GS ani GRN nic w takiej sytuacji nie poradzą. A to wszystko dlatego, że gdzieś, na którymś tam szczeblu ktoś przespał sprawę. Przespał — może nie teraz, może znacznie wcześniej, w okresie przygotowań do skupów, kiedy należało z góry przewidzieć fundusze na płace za prace nadliczbowe.

Prezes GS-u mówi, że w r. ubiegłym płacono na czas. Obecnie, mimo interwencji ze strony GS-u, pieniędzy dla robotników nie ma. Czyli, że w tym roku na owym „szczeblu" więcej spano niż w ubiegłym. Taki — postęp.

Dobrze, jeśli robotnicy świadomi wielkiego znaczenia akcji skupu będą pracować i czekać na wypłatę, która nastąpi „może w maju, może w grudniu" — ale po co stwarzać tego rodzaju sytuację, po co niepotrzebnie wystawiać na ryzyko powodzenie tak ważnej akcji i — co tu owijać w bawełnę — po co wodzić za nos ofiarnych robotników?

×

Inna sprawa — etaty. W każdym GS-ie bez względu na jego siłę gospodarczą jest jeden etat referenta skupu ziemiopłodów. W takim dajmy na to — Mąkowarsku, gminie liczącej 6 gromad (plan skupu ok. 700 ton) — jeden referent skupu — a w Dobrczu (16 gromad, ok. 4000 ton skupu planu) też jeden referent. Referent z Mąkowarska może obok swej pracy sprawozdawczo-statystycznej (biurowej) pracować także w terenie i przyczyniać się do wykonania planu dostaw. Referent w Dobrczu ledwie może nadążyć z pracą biurową (której, biorąc pod uwagę przepustowość towarową jest pięć i pół razy więcej niż w Mąkowarsku) a o pracy agitacyjno - organizacyjnej w terenie nie może być mowy. Oczywiście, nie trzeba przeceniać pracy referenta skupu w terenie — nie tylko od tego zależne jest powodzenie planu dostaw — ale w każdym razie — jeden aktywista w terenie więcej to i praca lepiej idzie. Sprawy te kierownictwo GS-u w Dobrczu stawiało na licznych odprawach w PZGS w Bydgoszczy, ale etatyzacja okazała się nienaruszalnym dogmatem. A nieobeznany z biurokracją korespondent, pisząc te słowa myśli sobie, że przecież to takie proste — przy planowaniu etatów brać pod uwagę rzeczywiste potrzeby placówki.

×

Jest u nas piękna i sprawiedliwa zasada nagradzania premiami najlepiej, najwydajniej pracujących ludzi. CRS ma też swój sposób premiowania. Przyznaje się premię pracownikom tych GS-ów, które wykonują plany skupu. Intencja w zasadzie słuszna — jej praktyczna realizacja — fałszywa. Jak fałszywa, niech wykaże poniższy przykład.



Foto — CAF

W ubiegłym roku gmina Dobrcz nie wywiązała się z planu dostawy ziemiopłodów, a więc w konsekwencji GS nie wykonał planu skupu. Natomiast chłopi gminy Bydgoszcz - Wieś wywiązali się z dostaw, więc i GS wykonał plan skupu. Z tą różnicą, że robotnicy GS w Bydgoszczy-Wsi przekroczywszy plan skupu odebrali ok. 900 ton zboża, natomiast robotnicy GS w Dobrczu nie wykonawszy planu odebrali ok. 3500 ton. Jeśli GS w Dobrczu zatrudniał tylko o 1 robotnika więcej, to jasne jest, że robotnicy tego GS-u włożyli kilkakrotnie więcej pracy w akcję skupu, niż robotnicy z Bydgoszczy-Wsi. Ale robotnicy z Dobrcza premii nie dostali, podczas kiedy robotnicy z Bydgoszczy-Wsi otrzymali wysokie premie (za wykonanie kilkakrotnie mniejszej pracy). Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że wykonanie planu dostaw przez gminę, a zatem wykonanie planu skupu przez GS jest najmniej zależne od pracujących ofiarnie robotników magazynowych, że za niewykonanie planu dostaw przez gminę, czy to wskutek słabej pracy politycznej w danym terenie, czy to z innych powodów — nie mogą ponosić szkody robotnicy magazynowi.

Powie może jakiś lakiernik, że to nietypowe, że może się nawet coś podobnego zdarzyło, ale po co zaraz krzyk i to w piśmie literackim. Otóż co prawda nie wiem w ilu powiatach w kraju zaistniały podobne dysproporcje, ale chodzi o co innego. Wszystkie tego rodzaju sprawy w bardzo dużym stopniu utrudniają pracę GS-ów, zwłaszcza tych „trudnych", o dużym zasięgu działania.

Bogusław Kogut

STANISŁAW PIĘTAK

Posucha w 1951 r.

I.

W owym czasie w strumieniach podleśnych zabrakło wody.
Przez wezbrane niedawną porą stawy biegł trakt młody.
Ziemie na polach popękały już jak ludzkie ręce.
Drzewa opięte kurzem i rdzą chyliły się w męce.
W owym czasie tak żarliwe były w myślach pragnienia,
że ludzie rankiem słyszeli deszcz szemrzący przy sieniach.
Oczy, kiedy ujrzały potem słoneczne przestworza,
zamykały się, jakby chroniąc się przed ciosem noża.

II.

Wieczór błękitny znów schodził, szeleściły przestrzenie
Szum, w którym żyły dalekie głosy, płynął przez ziemię.
Przy obalonej akacji gromadzili się ludzie,
pragnąc odpoczą w chłodzie po parnym dziennym trudzie.
Były tu kobiety, byli starzy i młodzi chłopi.
Dzieci patrząc jak ostatnie światło dnia na polach się topi,
podchodziły ku matkom i siedziały zasłuchane.
Opowieść jednak nie śmiech niosła, lecz troskę i ranę.
Ktoś starszy szeptał, że ziemi obsiewać nie jest w stanie.
— Rwie się przy orce, jakby korzenie żyły w niej same —
inny użalał się, ale nagle wszyscy umilkli,
bo student, co siedział nad rowem, podjął szept niezwykły...
— Z posuchą — mówił — walczą nie od dziś
w Związku Radzieckim.
Pustynie, przed którymi ludzie szukali ucieczki,
przemieniają tam byt, stają się żyznymi polami.
Ręce zasiały w nich lasy, przecięły się rzekami.
I taki obraz macie: tam, gdzie śmierć jeźdźca spotkała,
gdy jechał do żony i dzieci, gdzie piasek był, skała,
miasto ogromne się wznosi teraz nad taflą wody.
Gra w piłkę, śpiewa, lub z książką siedzi w cieniu kto młody.
Przyjdzie czas i u nas zaowocuje przebudowa.
Na piaskach nowe lasy wzrosną jak dziecięca mowa —
i z dziećmi się kraj, w nowym pięknie ukaże oczom,
obdarzy ziemię zgodnym wiatrem, rzeźwą wilgocią...

III.

Jakby powiało wonią lip, wzruszyła ludzi mowa.
Siedzieli wpatrzeni w marzenie, nie mówiąc ni słowa —
i oto u nóg jednej z matek spał malec szczęśliwy.
Szedł właśnie po sadzie, gdzie chwiały się zielone śliwy
i wtem uniósł dłoń, złotą zwisającą zerwał gruszkę
i począł biec po wijącej się jak rzeczułka dróżce.
Deszcz padał, deszcz wilżył twarz, obmywał drżące powieki.
Ulewa srebrzystym smarem objęła las daleki.
Może wielkich wzruszeń chłopca domyślali się inni,
bo westchnęli i stali cisi jak na dźwięków linii.
Wzrok ich nadzieją otaczał spękaną, cierpką ziemię.
Szli — jak ptaki przyjazne wybiegały przed nich cienie.

HALINA FILUTOWICZ

MICZURINOWCY PRZY PRACY

NA skraju jednego z ogrodów kończewickich, wśród bogatych krzewów morwy stoją trzy grusze. Różnią się tak bardzo, że nikt nie dopatrzyłby się w nich bliskiego pokrewieństwa, gdyby nie stwierdzał tego ich rodowód. Dzięki temu, że ocalały szczęśliwie z zawieruchy wojennej są dziś żywym dowodem, że już kilkanaście lat temu na kończewickiej ziemi w powiecie toruńskim rozpoczęto prace badawcze według teorii Miczurina. Grusze mają dziś 17 lat.

Jest wczesny ranek i jeszcze rosa połyskuje w słońcu. Mikołaj Lipski zaczyna swój codzienny obchód od trzech sąsiadujących ze sobą grusz. Przystaje na długi momonet przed nimi, obserwując sztywne listki błyszczące od rannej wilgoci. Ich szelest ma dla niego zupełnie inną wymowę niż dla obcego człowieka. Bo przecież pomijając sam fakt własnoręcznego wyhodowania tych drzewek owocowych, największe chyba znaczenie ma dla Lipskiego to, że jedna z grusz nosi oficjalnie jego imię — znawcy nazwali ją Berą Lipskiego. Drzewko to odznacza się specjalnymi walorami owoców, soczystych, jasnożółtych, rozpływających się w ustach gruszek.

Patrząc na zielone i twarde jeszcze owoce, bo to przecież dopiero połowa sierpnia, ogrodnik Lipski przypomina sobie jak to było z tą Berą. Od niej rozpoczął swoje eksperymenty. Ileż lęku i niepewności przeżył oczekując wyników doświadczeń z siewkami drzewek owocowych. Jaki ciekawy był czy to, co wyczytał w książce znakomitego ogrodnika radzieckiego, którą z takim trudem zdobył w 1934 roku, znajdzie pokrycie u niego w praktyce. Teorie Miczurina nie zawiodły go jednak. W rok potem Lipski miał już bowiem dwa tysiące siewek i krzyżówek owocowych. Pielęgnował je troskliwie przez cztery lata po to, aby w chwili wybuchu wojny pozostawić je na los szczęścia. Zmusiła go do tego konieczność, bo do wyboru miał tylko dwie alternatywy — sad lub życie.

Po powrocie z tułaczki odnalazł tylko trzy drzewka. Te, które rosnąc na uboczu nie zwróciły niczyjej uwagi.

W inspekcie tuż koło domu rozkwitł dziś piękny, czerwony mieczyk. Kwiat niezmęczony jeszcze słońcem ma duży, jędrny kielich. Lipski troskliwie zrusza ziemię wokół grubej łodygi. W najbliższym jej sąsiedztwie znajdują się porzeczki wysokopienne, Lipski wyhodował je nie w drodze szczepienia, jak to się czyni zazwyczaj, ale z odmiany, która po odpowiednim przycięciu, strzela w wysoki pęd. Krzew przeobrażony w ten sposób dał się prowadzić w formie drzewka, tak dekoracyjnego i pożądanego w ogródkach działkowych i miejskich.

Podczas śniadania żona podaje mu niewielką karteczkę. — Odpisałeś na ten list, Mikołaju?

Lipski obraca w palcach kartkę. — Ależ naturalnie. Już chyba mają wyniki swej pracy — dodaje z namysłem. — To pisał nauczyciel z Wąsosza. Ciekawe czy zasadzili te brzoskwinie, czy nie? Radziłem im, żeby zdobyli zrazy migdała „Pośrednik" przez Główny Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. To odmiana wyhodowana przez Miczurina i daje się doskonale krzyżować z brzoskwinią, ma owoc odporny na mróz?

*

Wiesiek Piotrowski to opalony, barczysty chłopak, interesujący się od najmłodszych lat przyrodą, roślinami, ogrodem. Dziś jako czternastoletni młodzieniec — Wiesio, należy już również do tutejszego koła miczurinowskiego. Idąc za przykładem matki, zabrał się i on do eksperymentowania. Przeprowadza doświadczenie z prosem japońskim. Nasiona otrzymane z Samopomocy Chłopskiej wysiał na parcelce w dwojaki sposób, ot tak — dla porównania jak będzie lepiej. Część — kupkowo, część — pojedyńczo. Kiedyś na zebraniu koła miczurinowskiego posłyszał od Lipskiego, który był przewodniczącym, że uprawa kok-sag-hizu zaczęła się udawać dopiero wtedy, gdy zastosowano siew kupkowy. Stąd zrodził się w jego głowie pomysł doświadczenia z prosem japońskim. A nuż z prosem będzie tak samo?

Stoją teraz obaj z Lipskim przy parcelce medytując w milczeniu. Ogrodnik nie lubi mówić przedwcześnie. Woli obserwować.

Milczenie przerwał Wiesio. — Tu, gdzie siałem kupkowo proso, wzeszło szybciej. Nasiona wspólnie wysiliły się i szybciej uniosły ziemię — prawda?

Lipski przytaknął. — Będziesz miał dobrą paszę — dodał dotykając ręką bujnych, szeleszczących liści. — I na siew też starczy.

Przeszli do następnej parcelki, gdzie zieleniły się ziemniaczane liście.

— Jeszcze nie skończyły wegetować...

— Bo to są ostatnie — wyjaśnił Wiesio. — Tu są średnie, a tam najwcześniejsze — pokazał ręką. Obeszli pólko w koło. — Te, które otrzymałem z pierwszych kiełków, są już duże. — Piotrowski wygrzebał palcem spory, żółtawy kartofel.



Przypomnieli sobie jak to Wiesio posadził ziemniaki pod stodołą, gdzie miały dość ciepłą temperaturę, ponieważ były tam osłonięte od wiatru i na południowej stronie szybko skiełkowały. Kiełki te Piotrowski wysadził i czekał na następne. Eksperyment powtórzył trzykrotnie. W ten sposób z jednego ziemniaka otrzymał od 25 do 30 roślin.

Przeszli razem przez ogród Lipskiego, rozmawiając o pracach interesujących zarówno wypraktykowanego ogrodnika, jakim był Lipski, jak i młodego, kształcącego się dopiero w tej dziedzinie Wiesia. Zatrzymali się na chwilę przy pomidorach odmiany Open Airy, przypatrując się różowiejącym owocom i tu zastała ich Lipska.

— Szukam ciebie po całym ogrodzie. Masz gościa. Jakaś pani chce się dowiedzieć szczegółów o pracy naszego koła miczurinowskiego.

Zawrócili ku domowi.

Niespodziewanym gościem okazała się dziennikarka z Bydgoszczy, zainteresowana pracą kończewickich miczurinowców.

*

— Mam mniej więcej 5 hektarów — opowiada Lipski. — Te działki otrzymaliśmy dwadzieścia lat temu z parcelacji jednego majątku. Mówię dlatego w liczbie mnogiej, gdyż jest nas tu 9 ogrodników. Na pewno nie wyobraża sobie pani tej pionierskiej pracy, jaką mieliśmy tu w owych dawnych latach. Dla mnie osobiście decydującym rokiem był 1934, a raczej 1935, gdy zacząłem pracować według metod Miczurina, na podstawie jego książki, sprowadzonej drogą okrężną, bo aż przez Berlin i z wielkimi trudnościami.

— Dawno istnieje tu koło miczurinowskie?

— Zorganizowaliśmy pracę w 1950 roku. Najmłodszym miłośnikiem nowoczesnego ogrodnictwa jest Wiesio Piotrowski. Jego ojciec był też ogrodnikiem, zginął w czasie okupacji, podobnie jak Strakowski i Zieleziński. Ale ich rodziny nadal podtrzymują tradycje ogrodnicze i pracują w tym kierunku. Piotrowska i Strakowska posłały nawet na wystawę kwiatową w Toruniu wyhodowane przez siebie dalie. A Wiesio przeprowadza doświadczenia z japońskim prosem i ziemniakami. Na razie wszyscy zajmujemy się pracą w terenie, dopiero w jesieni po zbiorze nasion, po ukończeniu prac w ogrodach zbieramy się, aby omawiać nasze wyniki, aby podzielić się doświadczeniami, których nikomu nie brakuje. Wtedy mamy czas na obgadanie wszystkiego — osiągnięć i trudności.

— Przydałoby się sztuczne nawadnianie — z troską w głosie zauważył Lipski. — U nas trudno z podlewaniem. Brak beczkowozu bardzo daje się we znaki. Nie mamy również węża. A rośliny wymagają przecież swojej „porcji" wilgoci. O, proszę spojrzeć na ten rabarbar. Jaki byłby piękny, gdyby go porządnie podlać!

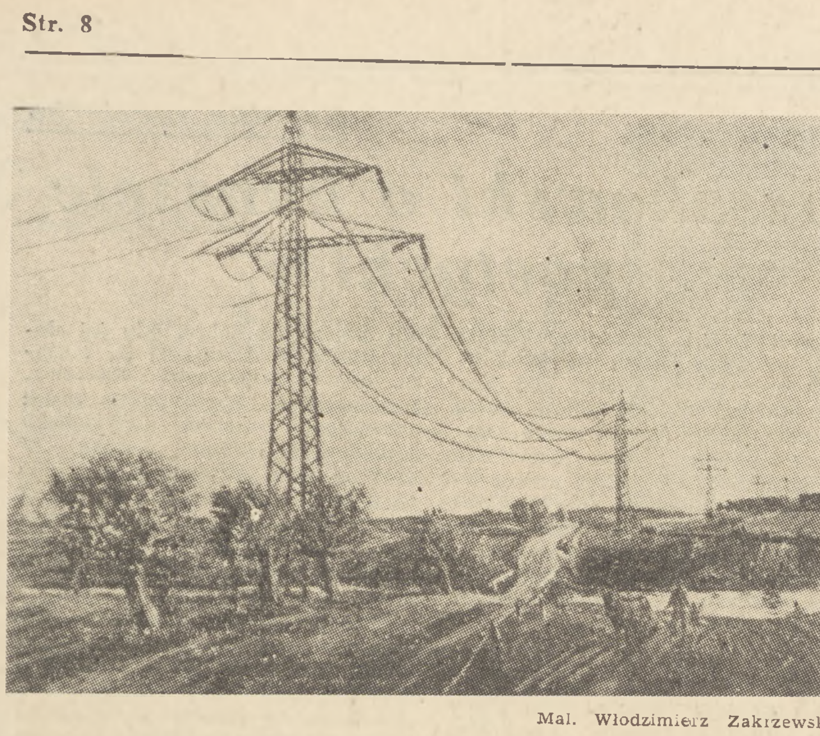
— Mamy tu dużo ciekawych osiągnięć, aż się czasem wierzyć nie chce, że można do tego stopnia zmieniać cechy roślin i uzależniać je od woli człowieka. Pracujemy nad nowymi odmianami ogórków przeznaczonych specjalnie dla konserw puszkowych, nad późnymi odmianami truskawek, nad wiśniami, jabłoniami, gruszami... Trudno doprawdy wymienić wszystkie rośliny, którymi się zajmujemy. Jest tu dość bogata biblioteczka miczurinowska, którą otrzymaliśmy od Samopomocy Chłopskiej. Korzystamy z niej zwłaszcza zimą, bo wiosna i lato — to sezony eksperymentów.

W słońcu kwiaty mieniły się wszelkimi odcieniami fioletu.

— A czy pani wie, że nie ma floksów czerwonych.

— Ale będą — roześmiał się Lipski. — Zobaczy pani, że będą. Za parę lat... obejrzy pani na własne oczy czerwone floksy wyhodowane przez miczurinowców z Kończewic. Bo niech mi pani wierzy — wszystkiego można dokonać, jak się tego naprawdę chce. Trzeba tylko wzorować się na pracowitym życiu Miczurina!

Halina Filutowicz



Mal. Włodzimierz Zakrzewski

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI

Jak hrabia robił wybory

I pomyśleć przychodził wtedy taki jeden z drugim i powiadał — adyć, sąsiadeczku, żyje się wam tu, jak u pana boga za piecem. Luft macie za darmo, od słońca wam podatku nie ściągają, a te widoki prześliczne! Lepsze jak w kinie — a biletu płacić nie trzeba! — wykręcał jęzor, żeby za „swciego" uchodzić i pyskował:

— A po wyborach to się wam dopiero poprawi — zobaczycie. Chleba będzie pod dostatkiem, a kto wie może i wódki? Tylko głosujcie na hrabiego Gołuchowskiego!

— Jednemu się tylko nie mogę nadziwić, że nie wzięły chłopy kłonicy i nie pogoniły pyskaczy po tych pięknych widokach, przykładając im poniżej pleców po drodze. Cierpliwy naród wtedy był w tej naszej Lechówce. A może taki zastrachany?

Józef Pierożek zastanawia się przez chwilę.

— Myślę, że zastrachany. Bo przecież jak zrobili zebranie we dworze, dali chłopom wódki i zaczęli opowiadać o tym, jak to hrabia Gołuchowski, kandydat na posła, dobry i miłosierny człowiek i jak potem jeden po pijanemu wstał i zapytał co będzie z reformą rolną, którą jeszcze w 21 roku obiecali — tośmy go przez miesiąc potem we wsi nie widzieli. A jak wrócił słowem się odezwać nie chciał, tylko zaufanym pokazywał czarne znaki, jakie mu od pałki zostały...

Tak — zastrachany i gnębiony biedą był naród w Lechówce. A najgorzej — w 35 roku...

×

Ziemia we wsi Lechówka, pow. Gródek Jagielloński nie była najgorsza. Cóż z tego, kiedy każdy miał jej tyle, co kot napłakał. Pierożkowie mieli np. trzy zagony. Dzieci za to było u nich pod dostatkiem, 7-ro, widać pan bóg biednym sprzyja — jak się mówiło. Józef był coś czwarty z kolei. Kiedy był jeszcze odrobiną hałasu zawiniętą w zgrzebną pieluchę, to było jeszcze pół biedy: wspólnika do matczynego pokarmu nie miał. Kiedy podrósł, zaczęła się cała bieda. Starsi bowiem oracia, wyrostki znane z wiecznego niedojedzenia, ostatni kartofel potrafili z garnka porwać, nim się do niego dopchał. Krótko mówiąc, Józef Pierożek, zwany wtedy w rodzinie Józikiem, od zarania życia poznał tę gorzką prawdę, że w życiu przeplata się nędza z biedą i głód z chłodem.

Ksiądz proboszcz, którego kazań słuchał Józik co niedziela, mówił, że to nawet dobrze.

Bogactwo jest co prawda cnotą, ale tylko u wysoko urodzonych. Natomiast jedynym prawdziwym bogactwem ludzi nisko urodzonych jest ubóstwo — zwykł mawiać ksiądz proboszcz. Podobnie zresztą ksiądz proboszcz wypowiadał się o nauce:

— Nauka wiedzie ludzi prostych na piekielną drogę występków.

Aby Józka i inne dzieci uchroniła od piekła, stworzono we wsi tylko 4 klasową szkołę. Żeby nie miał czasu na występne myśli, od 9 lat musiał pasać krowy, a od 14 robić w lesie za marne grosze.

Trzeba jednak powiedzieć, by nie skrzywdzić przedwojennego ustroju niesprawiedliwą oceną, że wszystkim to tak źle nie było. Np. Tyszkiewiczowi. Tyszkiewicz nie głodował — kurczaki jadł z mizerią, do wód latem jeździł i rząd chwalił. Nawet robić nie musiał, bo przecież robotników do jego liczącego 2.000 ha lasu godził mu rządca. Nie było również źle Gołuchowskiemu z sąsiedniej wsi. Zresztą trzeba mu przyznać, że był to pan miłosierny i porządny, chłopa palcem nie dotknął nawet wtedy, kiedy mu kilka patyków z lasu na opał wziął. Robił to za niego rządca i nie palcem a nahają, a pan miłosierny tylko odrobić jeszcze kazał dwa dni bez zapłaty.

Tego właśnie Gołuchowskiego posłem wybrano w 35 roku.

×

Same wybory to była wielka uroczystość. Zjechali się ludzie z wszystkich stron by móc oddać swój głos na najlepszego z hrabiów. Hrabia nie okazał się skąpy. Nie skąpił wódki, kiełbasy i obietnic. Czego nie obiecywał! Podatki miały być niższe o połowę, dla każdego miało być w bród dobrze płatnej roboty. Obiecywał hrabia, że zniknie ze wsi widmo straszliwe: komornik wyprowadzający z obory ostatnią krowę za podatki.

Gdy wszyscy podpili sobie, ten i ów zaczął wierzyć hrabiemu: wypisywał na kartce numer listy, z której hrabia kandydował.

A potem przyszły rządy nowego sejmu. Zmieniło się, a jakże — komornik nie brał już ostatniej krowy z obory, bo zrobili to jego poprzednicy i zadawalał się pierzyną ściągniętą z łóżka, kożuchem, w którym chodził ojciec staruszek w zimie, lub kurą, która jakby w przeczuciu swego losu żałośnie gdakała w chłopskim podwórzu. Podatki co prawda nie były niższe, ale za to niższe były ceny zboża i innych produktów wsi. Dla równowagi jednak podniosły się ceny wyrobów przemysłowych! Nazywało się to: nożyce cen. Cięły te nożyce chłopski grzbiet, aż się ciemno robiło w oczach!

Pan hrabia Gołuchowski sprowadził sobie bonę, która zaczęła go uczyć języka niemieckiego. Wiadomo przecież sam pan Goering przyjeżdża do Polski, pan Frank przyjaciel Polaków, Goebbels hrabiowski sojusznik. Niestety pan hrabia nie zdążył opanować niemieckiego języka, bo mu naukę przerwała podróż do Francji przez Zaleszczyki. Dziś angielski studiuje.

Za tamte hrabiowskie studia Józef Pierożek płacił pięcioletnią harówką w Niemczech. Za te pan hrabia zapłaci już sam... chyba, że mu coś kapnie z tych 100 milionów dolarów na akcję szpiegowską.

×

— Kiedy wspominam tamte lata — mówi Józef Pierożek — to mnie złość ogarnia. Złość o zmarnowane najpiękniejsze lata: młodość. Zabrali mi ją hrabiowie.

Pierożek nie lubi tamtych lat wspominać. Rozjaśnia się dopiero, kiedy mówimy o tym, co zaczęło się u niego w 1951 roku. W tym roku w jego wsi — Ruja pow. Wrocław powstała spółdzielnia produkcyjna.

Opowiada mi Józef Pierożek o tym, jakie to z początku były trudności, jak trzeba było wyrzucić ze spółdzielni ludzi, takich co to się bali, by im robota pleśni z rąk nie zdarła, jak spółdzielnia rosła, jak doszło do tego, że ich dniówka obrachunkowa wyniosła blisko 50 złotych.

Wspomina i o tym co myślał, gdy przeczytał w gazecie o nowej ordynacji wyborczej do ludowego Sejmu.

— Tyle lat żeśmy czekali — powiada, a w głosie jego wyczuć można jakąś niesłyszaną, gdy mówił o tamtych dniach straconej młodości, nutę ciepła — tyle lat, by naród dorobił się takiej ordynacji chłopsko - robotniczej. Nie mogło jej być w czasach, gdy Gołuchowski wraz z pańskim rządem naród oszukiwał. Dopiero teraz robotniczo - chłopski rząd i Sejm mógł ułożyć taką ordynację dla narodu.

Józef Pierożek, jego żona, prosta wiejska kobieta i dziewiętnastoletnia córka, której młodość przypadła na lata młodości Ludowej Polski, według tej ordynacji samodzielnie będą jutro decydowali o przyszłości swojej i narodu.

Klemens Krzyżagórski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa ul Wiejska nr 12 tel 7 52-50 Adres redakcji: Warszawa. ul Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel: Redakcji 751 80 dod. wewnętrzny 91, 63
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA". Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-18797

JÓZEF CZAKOW

Brak rąk do pracy...

CZĘSTO się czyta w naszej prasie i słyszy na zebraniach gromadzkich różne uwagi i krytyki pod adresem rolnictwa, że nie nadąża za rozwojem przemysłu i wlecze się żółwim krokiem za nim, utrudniając tym całą akcję rozwoju kraju.

Otóż mieszkam na wsi całe życie podobnie jak inni współziomkowie i dochodzę do wniosku, że najważniejszą przyczyną hamującą rozwój rolnictwa jest brak ludzi do pracy, tak w państwowych gospodarstwach jak i nawet u pojedyńczych gospodarzy. Prawie wszystka młodzież wiejska u nas pracuje w przemyśle, a na roli z młodych nikt nie chce pracować, gdyż w przemyśle mają o wiele lepsze warunki zarobkowania jak w rolnictwie.

Na przykład taki młody na swoim 6 ha gospodarstwie, to zarobi do 20 zł dziennie, a miesięcznie do 600 złotych. A w przemyśle to zarobi przeciętnie 600—800 złotych, a jeśli zostanie przodownikiem, to i więcej. Dlatego u nas pracują w rolnictwie sami starzy i dzieci, nic więc dziwnego, że uprawa roli i hodowla szwankuje.

Przemysł zaś mając dostateczną ilość młodych ludzi do pracy i technikę kroczy naprzód, a rolnictwo pozostaje w tyle. A przecież uważamy, że wyżywienie kraju ma duże znaczenie i należałoby się poważnie nad tym zastanowić, aby gospodarkę rolną podnieść.

Mnie się wydaje, ażeby temu stanowi na przyszłość zapobiec, należałoby zahamować częściowo odpływ młodych ludzi z roli.

Józef Czakow
Kończyce Małe, pow. Cieszyn
woj. katowickie

CZYTELNICY MIĘDZY SOBĄ

WANDA AUGUSTYNOWICZ

A myśmy na to znaleźli radę

CZYTAJĄC list ob. Czakowa Józefa, choć ten obywatel nie pisze, na jakim gospodaruje gospodarstwie i ile posiada ha, to jednak doszłam do przekonania, że ów ob. Czakow był i jest kułakiem i wyzyskiwaczem, który na swoją postać tygrysa wdziewa skórę jagnięcia, pisząc do Ciebie Droga Redakcjo.

Udaje bowiem tylko, że nie rozumie przyczyn obecnych naszych trudności w produkcji rolnej, że nie rozumie tego, co u nas w powiecie rozumie już prawie każde dziecko i prawie każda kobieta, która mniej jest może edukowana od niego, bo miliony ich nie miały dostępu do nauki za czasów sanacyjnych i nieraz dopiero za Polski Ludowej skończyły kurs dla analfabetów.

Biadoli obłudnie ob. Czakow i płacze łzami krokodyla, że wszystka młodzież wiejska pracuje w przemyśle. I z tego powodu ob. Czakowowi pewnie brak rąk do pracy w jego kułackim gospodarstwie? Ale brak, to chyba tylko tych na wpół darmowych (jak przed r. 1939) rąk do pracy, które od świtu do nocy pracowały u niego i u innych kułaków za zgrzebny, porwany łach, za marny ochłap, co się „życiem" nazywało... za światło dzienne i w stajni ogrzanie...

Ale dziś ta sprawa jest nareszcie rozwiązana. Młodzież chłopska, która za czasów sanacyjnych nawet marzyć nie mogła o zdobyciu nauki i zawodu, dziś ma dostęp wszędzie.

Pisze ob. Czakow, że robotnikom w przemyśle lepiej się powodzi niż chłopu na średniorolnym gospodarstwie. Ale nieuczciwie liczy te dochody. Ja sama mam 5-ciohektarowe gospodarstwo, to najlepiej wiem. Prawda, że zarobi się miesięcznie przeciętnie po paręset złotych, ale przecież do tego dochodzi i mieszkanie i produkty z własnego gospodarstwa. A robotnik przecież za to wszystko musi płacić. Ja robotnikom nie zazdroszczę. Jedynie mogę powiedzieć — cześć ich uczciwej, świadomej i ofiarnej pracy i ich szlachetnemu wysiłkowi. Ja pamiętam dobrze, a ob. Czakow już zapomniał, w jakich to trudnych warunkach pracowali ci robotnicy przez pierwszych parę lat po wojnie. A i teraz im się jeszcze nie przelewa, bo podrożały artykuły rolne sprzedawane przez wieś, co zawdzięczamy różnym wrogom, tak jak ob. Czakow, którzy swoim gadaniem i biadoleniem celowo odciągają mniej uświadomionych chłopów od wywiązywania się wobec Państwa, od podnoszenia hodowli i wydajności z ha. A zagadnienie rąk do pracy w rolnictwie, my tu w Olsztyńskim, rozwiązujemy w ten sposób, że zakładamy spółdzielnie produkcyjne. W gospodarstwie zespołowym przy pomocy maszyn, za pomocą nowoczesnej techniki, przy mniejszej ilości ludzi osiągamy większą wydajność z roli. Niech ob. Czakow przyjedzie w nasze piękne strony i zobaczy spółdzielnię produkcyjną w Brosinach, pow. Susz, gdzie chłopi gospodarują wspólnie i mimo krętactw bogaczy i wszelkich szkodników osiągnęli dobre wyniki. Po spłaceniu różnych świadczeń i pożyczek dniówka obrachunkowa wyszła im po 40 złotych — niech więc ob. Czakow nie pisze, że gospodarując na roli nie można zarobić więcej jak do 20 zł dziennie.

Ob. Czakow pisze: „zahamować odpływ ludności do przemysłu". A to przecież znaczy zahamować rozwój przemysłu i tak jak było przed wojną zmniejszać stale ilość nawozów sztucznych, maszyn rolniczych, obuwia, odzieży itp. To znaczy przywrócić przedwojenną nędzę i zacofanie wsi. Na to się żaden uczciwy chłop nie zgodzi i z kłonicą by takiego „mądrego" wygnał ze wsi.

Tak może mówić tylko wróg, któremu jak nóż w sercu tkwi piękna rozbudowa naszego przemysłu, naszych elektrowni i innych fabryk, nasza praca i walka o sprawiedliwość, o umocnienie siły, obronności i niepodległości naszej ojczyzny, o lepsze życie i w mieście i na wsi.

Wanda Augustynowicz
Iława, pow. Susz
woj. olsztyńskie

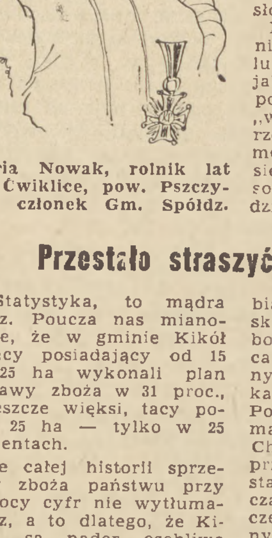
Gazetka gminna

„Wyzwalanie czasu" w Barwicach

Są po gromadach pomysłowi ludzie, którzy dokonują takich ciekawych usprawnień, że koniecznie trzeba, aby się naród o nich dowiedział. Weźmy na ten przykład nasz GS w Barwicach (pow. Szczecinek). Siedziało tam sobie kilku takich, co to ani Polak ani Czech tylko urzędnik, grosza złamanego byś za ich głowę nie dał i patrzcie no jakich wynalazków się dorobili! Uprościli mianowicie sprawozdawczość, jak chyba nikt w kraju. Aż dziw człowieka bierze, że można sobie ją tak zupełnie bez kłopotu prowadzić. Po prostu w sprawozdaniu za pierwszy kwartał 1952 zmienia się daty i już macie następne, za kwartał drugi. Dowiadujemy się w lipcu, że oziminy wzeszły dobrze na skutek mądrej polityki nawozowej GS-u, a zaopatrzenie w ciepłą odzież przebiega pomyślnie. SOMy nie przeszły jeszcze do POM-ów i nie są GOM-ami, a o wyposażeniu sklepów do akcji żniwnej ani słychu ani dychu. Są to oczywiste mankamenty tego wynalazku, ale — jak przecież wiadomo — ideału nie ma. Zresztą uwolnienie pracowników GS-u od wszelkiej roboty, a raczej „wyzwolenie człowieka od ciężkiej pracy" — jak mówi kierownik, znacznie przewyższa wspomniane wady wynalazku. Przez to wyzwolenie ponoć do socjalizmu bliżej.

Ostatnio zastosował nasz GS drugi pomysł racjonalizatorski. I znowu chłopi nadziwić się nie mogą jego genialnej prostocie. Chodzi o zebrania delegatów. Buchalter Kiełbik podszepnął taką myśl: jeżeli 80-ciu delegatów reprezentuje wszystkie gromady, to delegaci tych delegatów, będą także reprezentować gromady. No i na zebranie wezwano 20 ludzi zaufanych, spokojnych, pewnych. Radzono szybko, żadnych tarć i nieporozumień. Ale nie o to nawet pracownikom GS u idzie. Oni cieszą się, że „wyzwolili kapitały czasu w 60-ciu chłopach, którzy mogą se myśleć o czym innym i równocześnie reprezentować gromady". Są to słowa Kiełbika.

Lecz sami wiecie, jak niewdzięczni potrafią być ludzie. Upoważnili mnie, jako korespondenta, żebym poprzez prasę zażądał „wyzwolenia czasu" dla urzędników z GS-u. Krótko mówiąc — wylać ich, niech się nie męczą, a wtedy do socjalizmu na prawdę będzie bliżej. **Jan Biegała**



Maria Nowak, rolnik lat 68, Ćwiklice, pow. Pszczyna, członek Gm. Spółdz.

Przestało straszyć w Kikółach

Statystyka, to mądra rzecz. Poucza nas mianowicie, że w gminie Kikół kułacy posiadający od 15 do 25 ha wykonali plan dostawy zboża w 31 proc., a jeszcze więksi, tacy ponad 25 ha — tylko w 25 procentach.

Ale całej historii sprzedaży zboża państwu przy pomocy cyfr nie wytłumaczysz, a to dlatego, że Kikoły są nader osobliwą gminą. Krótko mówiąc, dzieją się tam rzeczy, aż się boję powiedzieć — nadprzyrodzone.

W GRN zagnieździły się duchy, ogromnie chytre na papiery. Akta, podania a już nade wszystko skargi na kułaków i słuszne pretensje mało i średniorolnych chłopów giną bez śladu. No, były — każdy urzędnik to przyznaje, widział na własne oczy, a teraz przepadły jak kamień w wodę.

I tak: wnioski trójki gromadzkiej o ukaranie opornych kułaków z Fabianek — zginęły. Nazwiska bogaczy z Chalina, sabotujących skup zboża ocalały, ale wymiar grzywny, wypisany na innej kartce zdołały duchy zjeść. Pożarły również podanie mało i średniorolnych z Chalina, którzy prosili o przedłużenie terminu odstawy, gdyż nie dostali na czas maszyn, wskutek czego uznano ich za opornych i przykładnie ukarano. Ostatni występ duchów z GRN-u w Kikółkach polegał na zaczarowaniu referenta skupu. Chłopu się pokręciło i zamiast kułaków polecił ukarać biedotę, pierwszą ze wszystkich w dostawach.

Nie było innej rady, musieliśmy odprawić egzorcyzmy. Urzędnicy zapewniali, że nie mogą ponosić odpowiedzialności za działalność cieni kułaków. Udowodniliśmy im jednak że to oni są żywymi cieniami wrogów naszej Polski. I poszli na grzybki.

Piotr Pigwa

SPROSTOWANIE.

W nr. 35 w recenzji pt. „Miasto pod łuną" J. Rurawskiego zakradł się błąd z którego wynika jakoby omawiana powieść była pierwszą książką Marii Klimas-Błahutowej. Autorka debiutowała w r. 1947 książką: „Na hałdach rosną nowi ludzie".

Za błąd ten przepraszamy autorkę.



Anna William — prezes G.S. Dobra pow. Nowogord

A jednak przodujemy

Opiszę wam w jaki to sposób nie zostaliśmy przodującą gromadą w akcji żniwnej, omłotowej i skupie zboża. Ano, było tak — zboża w naszej gromadzie Galiny (pow. Górowo woj. olsztyńskie) wyszły nad podziw pięknie. Człowiek poetą nie jest, ale go wzruszały falujące, dorodne pola. Żniwa poszły jak po maśle. Gospodarze pomagali sobie wzajemnie, ale nie dlatego, żeby brakowało u nas rąk do pracy. Wyjątek stanowią dwie wdówki, do których przyszli dobrowolnie ludzie z pomocą. Zresztą młode są jeszcze, postaramy się je wydać, ale to do rzeczy na razie nie należy. Ludzie zwozili sobie wzajemnie żyto, owies, jęczmień, żeby prędzej szło, chcieliśmy bowiem wygrać współzawodnictwo.

Sołtys zaproponował, żebyśmy się wykazali jakimś czynem społecznym. A była po temu wcale dobra okazja, gdyż spółdzielnia produkcyjna w Warszkajtach odczuwa brak rąk do pracy. Pomogliśmy.

A jednak przodującą gromadą nie zostaliśmy. Wbrew oczywistości? Nie, wbrew GRN. Pracują tam — proszę Was — znakomici figlarze. Wyznaczyli nam termin odstawy zboża na 28 września 1952 r., a maszyny przygotowali łącznie z GOM em na 1 września br. Powiadamy — byliśmy pierwsi w żniwach, czyn społeczny zrobiliśmy, u innych snopki jeszcze na polach, dajcie nam maszynę, wyznaczcie godziwy termin, a będziemy pierwsi w gminie.

— Pierwsi to nie, bo termin minął, w powiecie już o nim wiedzą, nic się nie da zrobić, na przyszły rok też będzie skup, to się poprawicie — takieśmy mądrości usłyszeli.

Na szczęście wychodzi nasza ludowa prasa i za jej pośrednictwem pragniemy, powiedzieć, że uważamy się za przodującą gromadę, co każdy uczciwy w okolicy może zaświadczyć. Przodujemy wbrew opinii GRN, ale nie rzeczywistości.

Wincenty Dziurba

Nie dla Dziewięczyc Sperka

Na wołowej skórze nie spisałbyś zasług naszego sołtysa - Sperki Aleksandra z Dziewięczyc (gm. Sancygniów, pow. Pińczów), no ale z pomocą Boską może uda mi się opisać przynajmniej najważniejsze.

Jakoś z wiosną mieli nasi chłopi otrzymać saletrzak na wzmocnienie pszenicy i żyta. GS przywiózł je do magazynu i czekał na listę potrzebujących. Czeka tak do dzisiejszego dnia, ponieważ sołtys, wykombinował sobie, że jakby chłopi saletrzak dostali, przestaliby myśleć o stosowaniu nawozów, a przecież powinni, bo inaczej gospodarka nie będzie nowoczesna. No i myślimy skądby te nawozy wydostać, bo listy jak nie ma tak nie ma.

Następnie przerzucił nasz sołtys swoją troskę na buraki. W tym celu usunął dotychczasowego delegata od buraków i sam się mianował jego następcą. Od każdego ha pobiera 4.5 złotego „za stracony czas". I rzeczywiście należy mu się, bo też traci niemało czasu na picie wódki.

Dalsza jego zasługa polega na wzbogaceniu naszego języka. Wprowadził w życie cały szereg nieznanych dotąd powiedzonek urzędowych w rodzaju: „ty idioto", „dziadzie pieroński", „dupku żołędny" itp.

I jeszcze jedno. Nasz sołtys wzbogacił zasób przysłów ludowych, gdyż nieustannie słyszy się w gromadzie — „nie dla Dziewięczyc Sperka".

To byłoby z grubsza wszystko. Sperka przez wrodzoną mu skromność o swoich zasługach nigdy do prasy nie pisze, a pewno i przyznać by się do nich nie chciał. A tom mu niespodziankę na łamach naszej Gazetki gminnej przygotował! Ucieszy się ten zasłużony chłop — nie ma co! **Piotr Banaszek**



Góralki Maria Gąsienica, Nowy Targ i Anna Rzatkosz grom. Glicarów, pow. Nowy Targ.

IRENA MAZURKIEWICZ

„DODATEK"

„Cóż to — przypisaliście
Pięć złotych mi do rachunku?"
„A książka? — co se myślicie —
Że książka jest w podarunku?"
„Książka? — co też pleciecie? —
Toć żadnej książki nie brałem!"
„Ale weźmiecie ją zaraz:
Do gwoździ Wam ją dodałem".
„Musi być ten dodatek?"
„Musi!..."
„A książka, ciekawa?"
„Książka, jak książka..."
„A tytuł?"
„Jak miedź i mosiądz się spawa?"
„Toć książka dla metalowca —
Ja — rolnik!"
„To mi nie wadzi.
Sto takich książek dostałem —
Muszę je rozprowadzić!"
Podobne do tej rozmówki,
Można usłyszeć w spółdzielni,
Gdy książkę dodają do gwoździ,
Do wiadra, lub do patelni!
Lecz kupujący rad często,
Bo książkę kocha...
Lecz kłopot niemały,
Gdy rybę dodają zepsutą,
Albo ser stary, spleśniały.
Wykręca się kupujący,
Wykłóca, dodatku nie chce,
Lecz — wreszcie bierze rad nie rad,
Choć woń go brzydka w nos łechce.
Nie weźmie — odmówią sprzedaży:
Płótna, wełenki, drelichu,
Weźmie — cuchnący dodatek
Pod próg podrzuca po cichu.
Gdy „woń" cię zaleci z GS-u
Przechodniu, nie łam se głowy:
To gminna spółdzielnia sprzedaje
Towar deficytowy.

Irena Mazurkiewicz



Stanisław Dziewałtowski grom. Nowa Wieś, pow. Słupczyce, przew. Kom. Rewizyjnej P.Z.G.S. Słupczyce.

Obudzić redaktora

Pisałem niedawno do jakie to różne recenzje o „Nowej Kultury" o tym tej samej książce mozna wyczytać w prasie literackiej.

Ale widać redaktor był śpiący, bo połowa tekstu gdzieś przepadła, no i „Nowa Kultura" wyszła poszkodowana, wykazała bowiem troskę tylko o krytyków tygodnika „Wieś". Słusznie, bo my to pismo chętnie czytamy. Ale i o sobie nie należy zapominać. Pisałem przecież że Anna Kamieńska skrytykowała porządnie, nie pojedyńcze książki, ale całą literaturę ludową, co się nie zgadza z opiniami naszego „Poradnika Bibliotekarza", który poleca czytać nam nie tylko Orła, Marca, czy Niziurskiego, ale również Piętaka, Koprowskiego, Schabowskiego i innych. Słowem w krytyce, jak u Reya — ksiądz wini pana, pan księdza, a nam biednym zewsząd nędza. Nam bibliotekarzom, którym głowa pęka od tych sprzecznych opinii.

A teraz druga sprawa, którą stanowczo trzeba wyjąć z redakcyjnego kosza, bo jest ważna. Spośród książek, które pisma literackie zrecenzowały, najważniejszych nie ma w naszych bibliotekach. Nic tu szukanie ze świecą nie pomoże: Stryjkowskiego „Biegu do Fragala" Newerlego „Pamiątki z Celulozy", Bobruka „Matki i syna", Czeszki „Pokolenie", Iwaszkiewicza przekładu z Marivaux „Kariera Wieśniaka", czy Koźniewskiego „Piątki z ulicy Barskiej" w naszych gminnych bibliotekach nie znajdziesz. Połowę wartości tracą dyskusje krytyków, ich namiętne spory, nowe niezwykłe sformułowania, jeżeli nasz masowy czytelnik nie dostanie do rąk naszych najlepszych powieści. Nasza Nowa Kultura powinna, jeżeli chodzi o literaturę, polegać nie tylko na tym, że powstanie książka a jeden krytyk przeciwstawi się drugiemu, nawet nie czytając jej (o czym donosi „Nowa Kultura" na ostatniej stronie numeru w którym mnie wydrukowała) ale i na trosce o czytelnika, dla którego się przecież książki pisze. Trzeba żeby krytycy zadbali i o obieg książek po kraju.

W nadziei, że tym razem redaktor nie zaśnie, prze- [illegible]

A. Kowol-Marcinek